

Wilczyński Albert Historja mojej Dubeltówki

Nie mogę przyznać się do autorstwa niniejszej historji. Rękopismu takowej u dzielił do mego rozporządzenia jeden z dawnych kolegów szkolnych z Kongreśówki, którego nazwisko dotąd nieznane publiczności polskiej." W liście swym uroczyście zapewnia, iż żonie jego, której ten manuskrypt odczytał, nadzwyczaj się podobał, — nie wątpię przeto, że potrafi zająć i inne czytelniczki, które zazwyczaj mniej są wymagające od cudzych, aniżeli od swoich mężów.

Po tylu wstrząsających wzruszeniach, jakie dzisiejsza literatura powieściowa dostarcza, zdaje mi się, że obrazek ten pełen prawdy i prostoty, pozwoli odpocząć niejako umysłowi czytelników, a mnie wyjedna zasługę, że wydobyłem z ukrycia nowego na niwie literackiej współpracownika.

Pamiętam jeszcze w szkołach, tu maczyliśmy z wypisów niemieckich po cieszna i wielce interesującą historję pary pantofli, historję spisana na tle opowiadań arabskich, których próbkę przedstawiają nam powieści Secherezady w Ty sięcu i jednej nocy.— Powiastka ta, wywarła na młodociany mój umysł dosyć głębokie wrażenie, tembardziej, że ani wątpić mogłem o rzeczywistości zdarzeń i kłopotów, jakie ta para zniszczonych pantofli przyniosła biednemu kademu, czy też kupcowi bagdadzkiemu.

Z czasem, kiedy przyszedłem do przekonania, że nie wszystko jest prawdą co stoi wydrukowane w książce, wrażenie historji owych pantofli zbladło zupełnie i do dziś nie wspomniałbym o niem, gdyby nie szczególniejsze zdarzenie z moją dubeltówką, zdarzenie prawdziwe, któremu możnaby śmiało położyć napis anonsowy bazarów wiedeńskich: „trudne do uwierzenia a jednak prawda”.

Historja mojej dubeltówki, godna jest nazwy historji: jej posiadanie z dzieciennych lat moich tak wplotło się w dalsze

losy mojego życia, tyle ma dla mnie uroczych i smutnych wspomnień, że, darując czytelnicy, muszę się z nimi ich przebiegiem podzielić.

Broń ta słynnej fabryki starego Le paża, była własnością mojego ojca. Pamiętam jak dziś tę chwilę, kiedy ją stary Moszek pachciarz przekontrabandował z Krakowa: dziwerowana długa jak u kabinu lufa, osadzona była w piękuie rzeźbionej kolbie, której część górną na załomie zakończył łeb wąsatego mopsa. — Żyłka myśliwska już podówczas obudzila się w chłopcu, całą noc nie spałem marząc, żebym to ja kiedybądź taką fuzyjkę posiadał. Przy odbywaniu prób na zajutrz, mimo silnego mrozu, asystowałem ojcu i innym panom od początku do końca, oglądałem postrzelone arkusze papieru, i z całą skrupulatnością liczyłem

znaki od śrutu ile ich dostało się do samego centrum, a ile na boki; — była doskonale, na przestrzeń równającą się dłoni, zostawało po dziesięć do dwunastu ziarn grubego zajęczego śrutu.

Od tej chwili Lepażówka, bo takie dostała miano, została ulubioną przyjaciółką; mieć ją w ręku, przyłożyć się do niej, ma się rozumieć z pozwolenia ojca, było najżywszą roskoszą. Znałem lepiej od ojca wszystkie jej grymasy; ile potrzebuje prochu na nabój, ile ziarek śrutu, jakiej wielkości przybitki, kiedy

góruje, kiedy rozrzuca, — i kiedy ją czyścić potrzeba.

Podrastając w lata, przywiązanie to do owej Lepażówki nie opuściło mnie wcale: przyjeżdżając na święta i wakacje do domu, pierwsza rzecz po przywitaniu rodziny, było pobiedz do kancelarji, i zo

baczyć jak moja przyjaciółka wygląda. Mimo to nie ważyłem się wziąć ją do ręki, ojciec chociaż mię bardzo kochał, jednak był surowym, „dzieci fuzjami się nie bawią” — była sucha odpowiedź gdym ośmielił się czasami prosić o pozwolenie zawieszenia jej przez ramię. Skończyłem lat trzynaście i przyjechałem na wakacje z promocją do klasy czwartej. Zdawało mi się, że mógłbym już unieść bezpiecznie Lepażówkę — czekałem na to lat pięć od czasu jej kupna przez Moszka, lecz ojciec innego był zdania: „mój kochany Ignasiu trzeba mieć węża do fuzji, rozumiesz! — odpowiedział dobroduszenie widząc czułe spojrzenie zwracane do wiszącej na ścianie dubeltówki. Przyznam się, dotknięty zostałem do żywego taką mową ojca, byłem formalnie obrażony, i w tej chwili postanowiłem sobie, że bądź co bądź muszę z niej wystrzelić. Zapewne wielu z czytelników moich przypomni sobie z dawnych lat

ten ambit młodego chłopaka i upór z jakim dąży do postawienia na swoim. Ja nie byłem ani lepszy ani gorszy od innych.

Żniwa się rozpoczęły na dobre; po czciwe ojczysko od świtu do późnej nocy był na nogach: pogoda służyła, ludzi przychodziło dosyć, trzeba się było spieszyć i żąć i wiązać i zwozić jednocześnie, aby zebrać całoroczną pracę do stodoły. Ko rzystałem z tej nieobecności ojca w pokojach, i wziąłem się do owej Lepażówki. Matka zajęta gospodarstwem domowym nie zwracała na mnie uwagi, więc dostawszy się do gabinetu, mogłem dowoli nabawić się dubeltówką. Nad podziw mój nie była ciężką: i tak i inak przymierzałem się z niej, celowałem do torby bor suczej wiszącej na ścianie — wybornie idzie, ręka ani zadrży, cel trzyma się poziomo.

Ale bawić się to za mało, zachciało mi się strzelać: myśl a wykonanie u młodego gimnaziasty to wszystko jedno: z gabinetu ojca trzeba było przechodzić do sieni przez pokój jadalny, gdzie uwijała się matka i mogłaby delikwenta zatrzymać, ale że ua pomysłach nigdy mi nie brakło, więc otwiera się okno, wystawia fuzję na zewnątrz, a potem koło okien

chyłkiem w krzaki ogrodu, z ogrodu ua pole, ma się rozumieć nie tam gdzie żniwo. W kieszeni miałem kilka gotowych naboí, skoro więc schowały się przed oczami memi wierzchołki kominów dworu, odetchnąłem pełną piersią, jak człowiek, którego obawa pogoni minęła.

Nareszcie ziszczone tyloletnie marzenia, Lepażówka w moich rękach, mogę strzelać swobodnie. Nie wiem, bo myśl moja nie sięga tak wysoko, czy który dygnitarz, łaknący orderowej wstążeczki do swego fraka, mógłby się uczuć tyle szczęśliwym, zobaczywszy pierwszy raz błyszczący krzyżyk na piersiach, ile ja czułem podówczas rozkoszy. — Położyłem się na trawie, obok mnie leżała wyciągnięta równie jak ja Lepażówka. Zapomniałem o wszystkich przykrościach studenckiego życia, zapomniałem nawet o zemście dla

Pancerama, profesora łacińskiej gramatyki, który mię systematycznie prześladował, dając każdego miesiąca dwójkę, zapomniałem nawet o chmurnym czole ojca, jego iskrzącym wzroku, jaki mógłby mię spotkać, gdyby się o tem dowiedział. Z całą przyjemnością i ożywieniem nie zwykłem nabiłem moją przyjaciółkę, zachowując wszelkie reguły tej operacji: odwiodłem ostrożnie kurki, założyłem bły

szczące kapiszony, a nie chcąc marnować naboju, z gotowością do strzału puściłem się dalej dla poszukania zająca. — Cóż tak trudnego zabić zająca, myślałem sobie, ojciec czasami przynosi trzech, czterech, niechno ja go spotkam... Lecz pokazuje się, że nawet do zająca, który tak dobrze ucieka, trzeba mieć szczęście: ja widocznie już wtenczas nosiłem na sobie przeznaczenie mijania się ze szczęściem, choć

wtenczas i dziś do szukania go sił nie
brakuje. — Prawda, potrzebowałem sił, bo
choć Lepażówka była lekka, to nosząc ją
wśród upału lipcowego na otwartym polu
przez całe trzy godziny, można djabelnie
uczuć znużenie, a zająca jak nie ma tak
nie ma. I szuranie nogami, i świstanie
głośne, aby go wystraszyć, nic nie pomo
gły, wieczór się zbliżał, trzeba było wra
cać do domu — wracać, nie zabiwszy za
dnego żyjącego stworzenia...

Zasepiony tedy, spuściwszy kurki i
nos na kwintę, idę ku wsi... Naraz przy
chodzi mi myśl, że fuzja nabita, i że w
takim stanie powiesić ją w gabinecie ojca
nie mogę. Wykręcać naboju nie umiem,
trzeba wystrzelić... ba, wystrzelić, kiedy
się boję... Otóż zniknęła resztką dobrego
humoru; jak tu strzelić? wiem — pocią
gnąć za cyngiel... ale może... a nużby jaki

wypadek. Biedzę się i pocę sto razy więcej, niż wtenczas, gdy słońce paliło mnie prosto w głowę: tu zachód się zbliża, ojciec może lada chwila wrócić, a jak zobaczy, że fuzji nie ma na ścianie, to co? Te co? — gdyby nie te co? ileby to ludzie głupstw nie porobili na świecie.— Te co? czy ono się przedstawia w postaci gniewu ojca, surowego spojrzenia żony, gorzkiego wyrzutu dzieci, błyszczącego ostrza bagnetu, kratowanego okna, lula go rejącej smoły po śmierci — zawsze to jest obawa kary, hamulec swawoli, wreszcie szlachetny dreszcz sumienia. Te co ze znakiem zapytania, to jedyny symbol lojalności !

Nie było rady, trzeba było strzelić, ale strzelić najmniej szkodliwie: więc oparłszy fuzję na kamieniu, kładę się koło niej na ziemi i raz, dwa, trzy... ciągnę cyngiel — fuzja wypaliła! Drugi raz już łatwiej idzie... No, myślę sobie, nie taki to straszny djabeł jak go malują, i pędzę co tchu do domu.

Tą samą drogą co przy wyjściu, po wróciła Lepażówka przez okno do gabinetu ojca, i niewinna jakby nigdy nic nie było zawisała na kołku. — Najciężej raz stać się nielojalnym przed własnym sumieniem; dalszy ciąg idzie już łatwiej. Kodeksy,

obowiązki, wierność, nawet sama uczciwość i honor przybierają mniej jaskrawą barwę... to można!

Więc kiedy można, powiedziałem sobie, to próbujmy drugi raz! Znowu więc nazajutrz Lepażówka odbywa oknową peregrynację i znowu cieszymy się jej posiadaniem... Ale nie głupim włóczyć się po polach kiedy zające tylko w lesie siedzą — więc prosto do lasu.

W lesie tak samo jak wczoraj na polu ani śladu zająca. — Co to jest? czy ojciec w czasie mej nieobecności wszędzie powybijał? Dostyc że nie ma!

Znowu słońce schyla się cłu dołu, znowu trzeba wracać i wracać z pustymi rękami. Żeby jaki ptak duży nastreczył się na gałęzi... i tego nie ma, Sam świergocący drobiazg, — próbujmy i tego. Przy wyjściu z lasu, maleńka sikorka uczepiwszy się na gałęzi, wywodziła swoje misterne trele: żółty jej gardziolek rozdymał się ilekroć potrzeba było dobitnie

śpiew zakończyć, biedaczka nie wiedziała,
że tuż obok taki jak ja bohater, czyha
zawzięcie na jej życie, i oparłszy lepa
żówkę na niskiej gałęzi, mierzy i mie
rzy jakby chciał zgładzić przynajmniej
wawelskiego smoka. Pociągnąłem za
cyngiel, fuzja wypaliła, a ofiara mojego

krwiożerstwa jak kula spuściła się na
ziemię. Wypadkiem, bo już ciż tego u
miejętnością nazwać nie można, trafiłem
ptaszynę. Jak tygrys pod Bongalem na
swoją zdobycz, rzuciłem się podjąć bie
dną sikorę niezważając, że jej nieza
mknięte jeszcze oczęta wyrzucają mi za
łośnię, jak śmiałem jej dzieci tak lekko
myślnie pozbawić matki.

Lecz gdzie mi tam było w głowie
popelnienie takiej zbrodni! — Tryumf
zabicia, tryumf przyszłego myśliwca za
głuszył litość: zdawało mi się wtedy,

że sam Alexander Macedoński pod Granicami nie mógł być większym bohaterem odemnie.

To też z uczuciem niepoohamowanej dumy, wzięwszy z efektem w dwa palce nóżki ptaszyny, zarzuciłem fuzję na ramię, i upojony tem wszystkim, porzucając zwykłą ostrożność przy wciąganiu fuzji przez okno, wałę prosto przez ganek do domu.

— Ignasiu? — co to jest? — krzyknęła matka zobaczywszy mię wchodzącego z fuzją na plecach.

— Zabiłem ptaka! — odpowiadam z powagą potrząsając w górę ptaszyną.

— Na miłość boską kto ci pozwolił brać fuzję?... O matko miłosierdzia tyś chyba zwarzował!...

— Wielkie rzeczy, że wzięłem — mówię z gabinetu już zawieszając Lepażówkę na

swoje miejsce. — Czyż, zawsze mam być smarkaczem? A na dowód, że umiem się z fuzją obchodzić, ma mama, zabiłem ptaka... Niech no mama zobaczy gdzie go trafiłem, ot tu w samo serce. Śliczny ptaszek, jutro go wypcham...

— Ależ dziecko moje, co ojciec powie?

— A cóż może powiedzieć, chyba żem tego strzelec i kwita!

— Nie rachuj na to radzę ci... ptaka wyrzucić i ani piśnij... Straszne rzeczy co ty wyrabiasz?... A nuż trafiłoby się jakie nieszczęście; gdzież takie dzieciuchy mogą same chodzić z fuzją do lasu... Jakżeś ty ją wyniósł z kancelarji, żem ja nie widziała?

— Mameczka to tylko o wszystko się boi...

— Jakże się nie mam bać kiedy ty mogłeś się zabić. Ignasiu proszę cię wyrzucić mi zaraz tego ptaka, bo i ja miałabym za swoje... Poczekaj, muszę zamykać od dziś kancelarję... znasz ojca jaki jest surowy.

Ta mowa matki, której byłem wy
pieszczonym dziecieniem, jakoś powoli
ochłodziła butę i zarozumiałość chłopaka.
A nuż na prawdę ojciec się zgniewa? —
Zawsze to nie bardzo dobrze, że nie
wzniósł strzelby przez okno... Myślałem,
myślałem i przychodziłem do przekona
nia, że matka może ma rację; jednak
żał mi było wyrzucać puka, zawsze to
ładne stworzenie i do tego owoc pierwszego
w mojem życiu polowania... Więc za
brawszy go ze stołu, schowałem pod
wielki stojący kufer, koło pieca i jakkol
wiek zbity nieco z tropu, jednak w naj
lepszym humorze, poświstując sobie,
spłaszowałem talerz kwaśnego mleka,
który mi matka na ochłodzenie podała.
Niedługo wrócił zmęczony ojciec z
pola; zapalono świece w pokoju, i podano
kolację. Po kolacji, ojciec zapaliwszy ulu
bioną fajeczkę, opowiadał matce różne
zdarzenia dnia tego, a popijając zwolna
herbatę, głaskał czteroletnią moją siostrę
Jagusię, która łąsiła się u jego kolan...
Naraz temu dziecku przychodzi do głowy
wywlec z pod kufra ową zabita przezem
nie ptaszynę, widocznie zauważyła ona
gdziem ją chował, a wywlokłszy niesie

Jo ojca i kładzie mu na kolanach...

„Tatku — szczebiocze bęben — patrzaj, to Ignaś zastrzelił”.

Ojciec zajęty rozmową machinalnie odsuwał rękę dziecka z kolan, lecz ta z upartem natręctwem kładła mu znowu sikorę powtarzając, że Ignaś zastrzelił. Mnie rumieniec oblał twarz całą, matka spostrzegła ten przestach —

— Nie nudź ojca rzecz do Jagusi — odbierając jej z rąk ptaszka — to ktoś kamieniem zabił...

— A nie, bo ze strzelby, — ja widziałam jak Ignaś niósł na plecach tatową strzelbę — odpowiada szepleniąc siostra.

— Pokaż no tego ptaka — mówi żywo ojciec biorąc go z rąk matki. — Nie prawda, to ptak zastrzelony a nie kamieniem zabity ! — kończy spoglądając na mnie surowo i w tej chwili idzie do

swego gabinetu obejrzyć dubeltówkę.
— Kto ci pozwolił ? — krzyknie piorunująco, przyskakując do mnie.
— Ale nie — tłumaczy matka.
— Co mi ty będziesz zaprzeczać ? fuzja świeżo wystrzelona, patrz jak smoli dodaje wyjmując z lufy zabrudzony palec. Nie było się co zapierać; nastąpiła burza mimo prośb matki, w której nie obyło się bez piorunów jak przy każdej burzy. Godność moja studenta idącego do

czwartej klasy została bardzo pokrzywdzona. Przez kilka dni patrzyłem się bokiem na ojca udając obrażonego, ale za moich czasów ojcowie nie bardzo zważali na dąsy swoich synów, trzeba się było przeprosić i stracić na długo nadzieję zabawy z fuzijką, którą już ojciec starannie do szafy zamykał.
Tak więc skończyła się pierwsza

moja awantura z Lepaźówka, z której po została mi na długo nienawiść, a potem głęboka niechęć do Jagusi, którą najchętniej uważałem za jedyny powód tej całej katastrofy.

Ale już taka natura ludzka: robimy źle sami, a szukamy winy u drugich. Namówili nas, opuścili, obgadali, podstawili nogę tam gdzie i bez tego mogliśmy się przewrócić. — Jak nam z kim do brze, to serdeczny przyjaciel, jedyny człowiek; niechże tylko odwinie się karta, z przyjaciela robi się wróg.

Wróćmy jednak do dubeltówki.

Od tego czasu upłynęły lata, z Ignasia zrobił się Ignacy, który pochowawszy najlepszego ojca, osiadł w rodzinnej wiosce, i tak samo pocił się podczas żniwa, tak samo narzekał na suszę, narzekał na deszcz, narzekał na mróz i na brak mro

zu, narzekał jak do dziś dnia narzekają wszyscy obywatele ziemscy.

Jagusia poszła za męża, na jej weselu strzelały się wiwaty z Lepaźówki, też same obowiązki wypełniła na moim weselu i używała wszelkiego szacunku i przyjaźni mojej tak samo, jak od pierwszej chwili kiedy ją Mosiek przywiózł z Krakowa.

Biedna Lepaźówka i ona miała swoje nieszczęścia: najprzód, roztrzepany szwagierek jadąc na polowanie przewrócił się z sankami i złamał łożę właśnie koło główki mopsa. Ten wypadek uczułem boleśnie, choć miejscowy kowal i stolarz zapewniali mię, że tak wszystko porychają co znaku nie będzie.

Rada w radę, oglądali, dumali, rozdawali to skówkę pod spodem, to obrączkę na wierzchu, i jak zaczęli majstrować, skończyło się, że łebek mopsa przełupali na czworo.

— A czy to ten łebek ma co do strzelania? zaopiniował kowal.

— Głupiś! — krzyknę — a jakże będzie pies bez głowy?...

— Juści wielmożny panie — wtrąca stolarz — skrobiąc się w łysinę — na żywego to by nie pasowało, ale na kolbie opijuje się gładko, zasmaruje szel

lakiem, spolituruje i kto tam pozna, że tu była głowa i to od psa.

Chciałem go wyrzucić za drzwi — niedołęga myślał, że mnie idzie oto czy kto pozna, że tu upiłowana głowa.

— A jeżeli już wielmożnemu panu idzie tak o ten łeb, to organista co wy rabia figury, dorobi taką główkę co ha !— Weźnie się proszę wielmożnego pana na sztyfcik, i nikt nie pozna.

— Znowu nie pozna! — krzyknę — ale ja chcę żeby ja nie poznał.

— I wielmożny pan nie poznał. — odpowiada uśmiechając się z całym przekonaniem, że tak będzie.

— Dobrze, niech on dorobi, tylko czy potrafi ?

— Jeszcze by też nie potrafił on, co robi głowy pana Jezusa, Matki Boskiej i innych świętych, psiej głowy by nie potrafił ?

— A więc niechże spróbuje — rzeknę z desperacją.

Wzięli i poszli do owego rzeźbiarza organisty, a za kilka dni przynieśli mi dubeltówkę z tryumfem.

— No wielmożny panie — rzecze stolarz — nie mówiłem, niech wielmożny pan zobaczy? I podał mi z elegancją dubeltówkę...

Parsknąłem śmiechem, choć wszystko się we mnie gotowało ze złości zoba czywszy posmolonego guza zamiast psiej mordy. Z gniewu szarpnąłem silnie tę poczwagę, a razem z nią odpadła i część kolby, którą te niezdary wbijając sztyfcik nadłupali...

Artyści odeszli obrażeni i słyszałem jak nazwali mię w rozmowie z lokajem płanetnikiem.

Nie było innej rady, zawiozłem Lepa żówkę do W arszawy, gdzie kazałem do zrobić nową zupełnie osadę, lecz ta zmie

niła zupełnie fizjognomje mojej przyjaciółki. Nie wierzę w przeczucia, a jednak ten pierwszy wypadek z fuzją był początkiem szeregu innych nieszczęść, które spadły na mnie w ciągu jednego roku. Straciłem matkę, pochowałem Kochającą żonę i zostałem samotny w moim dworze, a ile razy spojrzałem na Lepa żówkę, zdawało mi się, że ona mi robi wymówki: „wiesz, trza było mię szanować !” — Jestto nonsens, ale trudna rada jak komu się co przywidzi, tak wierzy temu, i pomimo woli robi się zadowolonym. Są ludzie nawet bardzo uczeni i rozumni, którzy przywiązują się do kapelusza np. lub do laski i pewnej sukni; zdaje im się, że te rzeczy przynoszą im

szczęście, jak innym posiadanie starego

grosza w portmonetce ma utrzymać w obfitości zapas gotówki.

Nie długo czekałem na drugi cios, przyszedł rok i wojna węgierska; nakazano oddawanie broni do fortec.

Moją Lepażówkę odwiozłem do komendanta żandarmerji w powiecie, i prawie ze łzami w oczach oddałem obwiniętą w sukno, posmarowaną oliwą i zamkniętą w nowym futerale. Kapitan uśmiechnął się tylko widząc tego rodzaju troskliwość o starą zużytą strzelbę, dał kwit dla formy, z przekonaniem, że więcej jej nie zobaczę.

Inaczej jednak się stało! Po skończonej kampanji zaczęto znowu dla uchronienia nas od napadów wilków udzielać niektórym pozwolenia płatne na utrzymywanie broni. Byłem jednym z pierwszych, którzy nie zaniedbali wszelkich starań aby uzyskać tego rodzaju pozwolenie: pozbierałem żądane świadectwa konduity, o tajemne postarałem się aby były przychylne, płaciłem, ugaszczałem urzędników w gubernji, nareszcie dostałem tak zwany bilet.

Nie wracając do domu, zajechałem wprost do owego kapitana żandarmów, żeby mi wydał moją dubeltówkę.

— Mój panie — rzecze mi obojętnie — albo ja wiem gdzie twoja strzelba; ode słałem do cytadeli warszawskiej, masz pan numer i moje polecenie, jedź szukaj. Pojechałem do Warszawy i zgłosiłem się do komendanta cytadeli. Przez cały tydzień odsyłali mię do pułkownika, do majora, do kapitana, aż wreszcie skończyłem na podoficerze, który ujęty moją szczodrobliwością, przejrzawszy księgi o świadczył z żalem, że partja zabranej broni z tej gubernji odesłana do Brześcia Litewskiego. — Jadę do Brześcia, tam również odprawiam tygodniowe poszukiwania, dostaję się nareszcie do magazynu fortecznego w kazamatach gdzie nasza broń złożona.

Przyznam się czytelniku, w szukaniu tem opanowała mie formalnie gorączka; żołnierz, który mi otworzył drzwi myślał żem zwarzjował, zobaczywszy jak rzuciłem się do przeglądania tysiąca strzelb zwalonych w gromadę bez żadnego porządku. — Słuchaj pan — rzecze łamaną pol

szczyzną — daj trzy całkowe, a beri so
bie kakuju ugodno... — Tu starszyzna
już powybierała co lepsze.

— Masz trzy ruble — odpowiadam
tylko mi pomóż odszukać mojej.

— Czort znajet nie wziali już waszej?
Kak ugodno poiszczem.

Zaczęliśmy tedy iskać, jak mówił
podoficer, przekładając jedne po drugiej
Wszystkie futerały były porozbijane, nu
meru ani szukaj, ale po dwu godzinach
ciężkiej pracy odnalazłem mój futerał,
niestety bez zawias i fuzji!

Możecie sobie wyobrazić moją roz
pacz! Zdawało mi się, że z utratą Lepa
żówki, tracę połowę życia... łzy stanęły
mi w oczach.

— Aj pan — rzecze podoficer — nu
żno jeszcze poiskać, tu wsie tak leżat.
Szukaliśmy dalej... i o cudo! zardze

wiałą, poobtrącaną, bez paska i stempla dostałem moją Lepażówkę w ręce. Z radości ucałowałem ją kilka razy.

— Było i czego iskać — mówi wzruszając ramionami podoficer — toż to drań — kak wojennoje rużjo — et pan, wożmitie ot takuju zołoczennuju.

— Nie, mój panie, ta mi jest droższą od tych wszystkich, to broń po moim ojcu...

— Nu, tak, druguje dzieło! — wożmitie !

Przez całą długą drogę bolałem nad oplakany stanem mojej przyjaciółki. Nie zważając na trzęsienie pocztowej

bryczki, czyściłem, odskroby wałem, śliną odmywałem wszystkie plamy i uszkodzenia, tak dalece, że do domu przywiozłem ją w nieco porządniejszym stanie. W kilka dni już wyglądała inaczej, choć

na dziwerowanej lufie pozostały pod rdzą szramy niewoli. Lepażówka miała już teraz podwójną dla mnie cenę, litowałem się nad jej nieszczęściami, i cieszyłem się jak male dziecko, tak dalece, że na wet służba dworska spostrzegła lepszy humor dziedzica.

Przyszła wojna krymska, znowu za żądano broni od uas — nie dałem! Ku piłem inną dubeltówkę od sąsiedniego leśniczego, który trzymał broń ukradkiem, i odesłałem tę zamiast Lepażówki do powiatu.

Minęła burza wojny wschodniej, znowu udzielano choć z większymi trudnościami i potrojoną opłatą pozwolenia — wystarałem się o takowe, i wyprowadziłem z ukrycia moją strzelbę.

Podzielając złe i dobre losy, latając z całym zamiłowaniem archeologa wszelkie szczyby starzejącej się Lepażówki — to odmieniając brantki, to nadkładając zużyte kurki, biedowaliśmy wspólnie do r. . Osierocony, sam jeden na wsi mieszkając, oddałem się z zamiłowaniem

polowaniu. Ekonom mój, Wąsowski, wy
służony podoficer, szlachcic zagonowy z
Wąsosza, towarzyszył mi w tych wycie
czkach, i on jeden tylko miał pozwolenie
czyszczenia i utrzymywania w porządku
faworytki. Dzieciństwem to się wyda,
gdy powiem, że kazałem przybić dywa
nik na ścianie, gdzie ona wisiała, jedy
nie dlatego, iż zdawało mi się, że staru
szka potrzebuje wygody, i że jej musi
być twardo opierać się na tynkowanym
i chłodnym murze.

W Warszawie rozpoczęły się demon
stracje: pogrzeb generałowej. Sowińskiej,
polewanie sukien witryolejem, pokazywanie
się w lasach jakichś nieznajomych ludzi
— gorączkowy nieokreślony niepokój,
szeptania między drobną szlachtą, wśród
których wioska moja leżała — wszystko
to razem wzięte zapowiadało burzę, któ
rą wyraźnie czuć było w powietrzu. —
Nie przypuszczałem zrazu, żeby to wszy
stko tak prędko i na serjo wybuchnąć
mogło, jednak drżałem ua samą myśl,
że lada chwila przyjść może rozkaz od
bierania broni, jak to bywało we zwy
czaju przy najlżejszym objawie niepoko
jów lub wojny, którą Rosja zamierzała

prowadzić. Spoglądałem z żalem na biedną staruszkę, wiszącą na ścianie i szu

kałem już w myśli bezpiecznego dla niej schronienia. Znowu biedaczko pójdziesz do więzienia, ty najmniej ze wszystkich winna.

Pamiętam w początku stycznia wyjechałem do siostry na czas dłuższy w Lubelskie, tam rozchodziły się też same wieści, przewidywano i obawiano się wybuchu. Szlachta nie wiedziała, co z sobą robić, każdy słuchał, oglądał się, czy go kto nie słyszy i milczał.

W połowie stycznia późno już wieczór powróciłem do domu, i zdziwiłem się niepomąłu, zobaczywszy oświecone okna mojego mieszkania.

— Kto tu jest? — pytam służącego w ganku.

— Rewizor od gorzelni, proszę pana,

ten kulawy Szymborski przyjechał niedawno i będzie nocował.

No, pół biedy, pomyślałem, zawsze taki gość nie jest przeszkodą, a że to był dobry i usłużny urzędnik, chętnie go wszędzie przyjmowano.

— Ale proszę pana i posłaniec z powiatu czeka tam w kuchni — mówi, że ma samemu panu oddać jakieś pilne papiery.

Te pilne papiery były nie co innego jak rozkaz naczelnika powiatu do odbycia

tej nocy poboru wojskowego. Miałem to nieszczęście być wójtem gminy, do której prócz mojej wioski wchodziło siedmnaście osad drobnej szlachty podlaskiej.

Pobór dokonany w takiej chwili był bardzo ryzykownym przedsięwzięciem, tem bardziej jak mi objaśnił pan Malinowski mój pisarz gminny, że tysiące ludu zbiera

się już w Węgrowie, i że wszystko co żyje idzie do powstania. Ten Malinowski była to wielce ciekawa figura, w swoim rodzaju prawdziwy typ wójtowskiego Moralisty, którego razem z aktami gminy odebrałem w sukcesji od mego poprzednika. Również drobny szlachcic z urodzenia, wobec nich przybierał ogromnie ważną i urzędową figurę; każdy początkowy frazes w rozmowie zaczynał od wyrazów „jakkolwiekbać” albo „aczkolwiek” i w ogóle tyle mieszał utartych w urzędowych raportach frazesów, że wszyscy, nie wyjmując uczonego Mrocza, szlachcica z Podłęża, mieli dla jego uczoności respekt niezwykle.

Dziwna rzecz, jak lud prosty lubi i ceni wysoko napuszystość: rozmawiaj z włościaninem w wyrażeniach dostępnych, napisz mu prośbę czy list zwyczajnym stylem, to mu się nie podoba, będzie ci się uśmiechał, będzie kiwał głową, że

tak ma być dobrze, jednak Malinowski dalekoby to lepiej wykoncypował. Na do wód tego przeczytajcie kiedy listy, jakie żołnierze z wojska, lub czeladź z miasta pisują do swoich krewnych, na wsi zamieszkałych, przeczytajcie listy waszych służących, które wasz ekonom czy lokaj redaguje. — Ile tam górnolotnych bez sensu wyrażen, ile okropności, wykrzykników — a czem mniej czytający rozumie co z tego, tem list mądrzejszy.

— Więc panie Malinowski — pytam, gdyśmy z rewizorem zasiedli we trzech do kolacji — cóż zrobić z tym rozkazem ?

— Aczkolwiek bądź proszę wielmożnego pana, — rzecz robiąc skromno urzędniczą minę pisarz — odnośne rozporządzenie, przez pana zacytowane, opiewa tego rodzaju polecenie, jednak nie uchybiając wysokości urzędu Wgo pana...

— Gdzież pan znajdujesz w wójtwie gminy tę wysokość urzędu? przerywam uśmiechnięty.

— A jakkolwiek bądź władza każda w okresie stosowania odpowiednich przepisów jest proszę pana wysokością, której podwładne organa...

— Mój panie dajmy pokój organom i wszystkim tego rodzaju instrumentom, ale powiedz, co mamy robić?

— Hm! — odrzekł spoglądając z bojaźnią na rewizora akcyjnego, którego miał za większą władzę odemnie — to jest pytanie, którego wyjaśnienie spo- czywać nie powinno w atrybucji wyżej wzmiankowanych organów.

— Znowu organów, ach mój panie Malinowski, czemuś ty nie poszedł na organistę? — Powiedz jak radzisz, brać czy nie brać?...

— Nie żenuj się mos i dobrodzieju przerywa rewizor — tu siedzimy przy herbacie nie w biurze, to jest prywa- tna rada.

— Aczkolwiek bądź zawsze — mówi oglądając się na wszystkie strony jest tu rozporządzenie drugiej jakkolwiek nie rzeczywistej, ale istniejącej władzy, które surowo zakazuje brać! — To rzekłszy z wielkim strachem wydobywa karteczkę

z pieczęcią narodową i podaje mi do czytania.

— Więc nie brać i kwita! — mówię oddając mu kartkę.

— I jabym się skłonił do zapatrywania się na tę okoliczność, jakkolwiek z drugiej strony...

— Mój panie trzeba się trzymać jednej strony. A w Węgrowie? co?

— Ludu gromady z czem kto może, z kosą, z widłami, słyszę, ale wielmożny pan wie, ja w takich nielegalnych wypadkach z urzędu nie jestem kompetentny.

— Któż ich zbiera?

— Niby to jakiś, mówiąc na to co słyshałem, Janko Sokół.

— I to prawda?

— Jakkolwiek takie dochodzą wieści, to wszakże autentyczności takowych pogłosek urzędownie bym stwierdzić nie

był w stanie.

— A z naszej gminy co ?

— Nibyto idą wielmożny panie...

Prowadząc w ten sposób pogawędkę, powoli, powoli dowiedziałem się iż rzeczywiście wybuchło powstanie w Węgrowie, że tam zapal ogromny, i że nasi popisowi przeznaczeni do poboru, pomimo że depeszę odebrałem przed chwilą, dwoma nietkniętymi pieczęciami opatrzoną, dowiedzieli się już o swoim przeznaczeniu i wszyscy umknęli do Węgrowa.

— Zkąd oni się mogli dowiedzieć ? — zapytałem spoglądając ciekawie w oczy pisarza.

— Różne są drogi, któremi ten jakkolwiek nieznany rząd z pieczętką ostrzega kontrybuentów...

Była już może dziesiąta godzina w nocy, gdy niezwykle stukania w przed

pokoju i głośna rozmowa kilkunastu osób przerwały naszą gawędkę. Zaczęli macać po drzwiach szukając klamki, nareszcie i ta skrzypnęła, a kilkunastu młodych ludzi ubranych w burki, kozuchy, i ciepłe szlacheckie surduty, wtacza się do pokoju.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki — odpowiadam przypatrząc się ciekawie przybyłym, zupełnie mi nieznanym osobom, gdy tymczasem mój Malinowski wymyka się niepostrzeżony, a biedny rewizor wytrzeszcza oczy ze strachu.

— U pana są dwie dubeltówki — odzywa się stojący na przodzie z przyprawionemi wąsami mężczyzna, Jan Wielądek, bo go poznałem po głosie. Był to szlachcic amatormyśliwy, z którym dość często polowaliśmy — przyszliśmy po tę broń, i proszę pana wydać nam ze wszystkimi przyborami.

Mrowie przeszło po mojem ciele, Le pażówka stracona.

— A nie moglibyście panowie zostać mi jedną sztukę a wziąć jedną tylko? — spytałem ratując się na chybił trafił.

— Cóż to pan żałuje głupiej dubeltówki? — odzywa się wychodząc z gromady naprzód krępy młody chłopak z czarnymi jak węgiel włosami.

— Nie żałuję mój panie — odpowiadam łagodnie — tylko, że ta dubeltówka jest najdroższą pamiątką po ojcu.

— To też najlepiej usłuży pamięci ojca, jak pójdzie bić wroga — rzecz ten sam młodzieniec — jeżeli my damy co mamy najdroższego, bo życie, to sądzę i pan może zrobić ofiarę z dubeltówki, którą przecie mniej warta od człowieka.

Miał rację, nie było co wdawać się w dalsze argumenta. Poszedłem do kancelarji i z bólem serca nie do opisania zdjąłem poczciwą staruszkę ze ściany. Ucałowałem ją kilka razy ze łzami w oczach, pobłogosławiłem ją drogą i pożegnałem się na zawsze.

— No—rzekłem — podając ją Jaśkowi Wielądkowi, udając że go nie poznaję — oddaję ją w uczciwe i dobre ręce, niech wam Bóg błogosławi, a wasana strzeże i służy ci tak jak mnie dwadzieścia lat

służyła. Młodemu mówcy, który wyglą

dat na coś lepszego niż reszta drobnej szlachty, doręczyłem drugą dubeltówkę, dobrą wpawdzie, ale z którą rozstawać się nie było tr: dno.

Wielądek amator broni, znając Lepa żówkę, pochwyił ją czempredzej, i mi mo wymówek drugich nie wypuścił z re ki...

Nie przepuścili powstańcy i rewizorowi; rewolwer swój z nabojami, a nawet urzędową szpadzinę musiał oddać pro publico bono. Później dowiedziałem się, że mój Malinowski urządził całą tę komedję i przebranie się szlachty, i że umyślnie nasłał dwudziestu podczas bytności starszego urzędnika, żeby był dowód, że ulegliśmy przemocy. Jakoż nazajutrz przyniósł mi już gotowy protokół urzędowo spisany, gdzie nakładł tyle scen,

gwałtów, odgrózek, że wśród takich okoliczności nietylko dwie dubeltówki, ale cały arsenał, gdyby się u mnie znajdował, z armatami, amunicją, i zaprzęgami nawet, oddaćby wypadało.

— Jakkolwiekby, wielmożny panie, sprawa to święta — rzekł, gdyśmy zostali sam na sam — to jednak formalność urzędowa powinna być zachowana. Protokół ten podpisał rewizor i dwóch świadków własnoręcznymi znakami krzy

ża świętego. Świadcami tymi byli Wojciech, lokaj i Cięciała, stróż domowy, który, jak protokół upewniał, zapalał wtedy w piecu. Świadcowi© dotknęli pióra, trzęsąc się ze strachu, a papier opieczętowany starannie wysiano tego dnia do powiatu.

— Wielmożny panie, aczkolwiek wilk syty, to nieprzymierzając i owca cała.

Gdzie tam cała — pomyślałem sobie, spojrzawszy na pusty hak i dywanik w kancelarji, gdzie jeszcze wczoraj wisiała Lepażówka. Boże, daj im tam powodzenie — szepnąłem — dla przyszłości sprawy naszej każda ofiara musi być lekka. — Westchnąłem, i na tem mój żal się zakończył.

Nazajutrz, rewizor pojechał, a od samego rana dochodziły mię z różnych stron coraz nowsze wieści. Gorzelany mój, człowiek młody jeszcze, a mający starą żonę, zapalony patrijota i podobno dziesiętnik narodowy, mimo płaczliwych próśb żony, wymknął się rankiem do Węgrowa i przyniósł najświeższe nowiny. — Wielmożny panie, co się tam dzieje, co się dzieje! Ludu jak nabił, a będzie tego ze sześć tysięcy; a wszystko młode. Widziałem tego Sokoła, ale to wielmożny panie nie jest jego przezwi

sko, tylko tak dla niepoznaki; powiada ją, że to jakiś junkier z moskiewskiego wojska, — a i ten z Kościany rządcą jest jakimś starszym. Krzyk, harmider, lata nina, powiadam wielmożnemu panu, że na żadnym jarmarku tego nie zobaczy.

— A broń mają?

— A jakże, zabrali wszędzie po dwóch, a u księcia to coś pięćdziesiąt sztuk.

I kosa mają takie naprost, nie jak do koszenia, i piki kuja z chorągiewkami; u kowali w mieście, jak przed żniwami, kiedy sierpy ostrzą. Na rynku stawia ich starszyzna w szeregi, musztrują „baczność, krok podwójny, na ramię broń!” to aż miło słyszeć musztrę po swojemu.

— I cóż oni myślą?

— A cóżby, bić się z Moskalami; ino się uformują, to ruszą na Moskala, a słyszę kozaków trochę eo stali w Szarutach, to ani okiem nie dojrzysz, w nocy sakum pakum świsnęli gdzieś aż podobno do Siedlec.

Po południu przyszła druga nowina, że powstańcy spalili most pod Liwem, więc Moskale z naszej strony już się tam nie dostaną, że złapali jakiegoś szpiega w Węgrowie nasi, i podobno mają powieścić, że i babę jakąś powieszają, bo poka

zato się, że to jest szpieg przebrany za kobietę.

Wyszedłem na wieś, i tu znać było powszechne zakłopotanie. Chłopi z zasady konserwatyści i trzymający zawsze stronę mocniejszego, nie wiedzieli jak się zachować. Gromadki zadumanych spotkałam przed domami, kłaniali się bardzo uniżenie, lecz z zafrasowanej ich miny łatwo było dostrzedz, że te wszystkie wypadki zastały ich nieprzygotowanymi. — Pokorne ciele dwie krowy ssie — powiedział mi jeden, który miał do mnie zaufanie. — Cóż ta my głupie chłopcy jak panowie rozrządzą, to tak będzie; wola Boska...

Przed plebanją stary proboszcz w czapce z wiszącymi uszama, trzymając w jednej ręce tabakierkę, a w drugiej czerwoną, kraciastą chustkę, którą jak sztandarem jakim wiatr poruszał — prowadził żywą rozmowę z potentatem między drobną szlachtą, członkiem dozoru

kościelnego. Przy nich stał dzierżawca
mojego wiatraka, kolonista, spolaczony
Niemiec, a gospodyni księżowska mimo
zimowej pory, otworzywszy okno pleba
nji, nadstawiała ucha, zakrywając skrzy
żowanemi rękoma niebardzo skromnie
wychylające się z pod wyciętej koszuli

wdzięki kobiece. Jeden tylko dziad ko
ścielny z siwą brodą, zdawał się oboję
tnym widzem tego wszystkiego, bo wlaź
szy na piętro pochylonej dzwonnicy, z
koronką w ręce dzwonił i dzwonił na po
łudnie wśród niecierpliwości proboszcza,
któremu to dzwonienie przeszkadzało do
rozmowy.

— Onufry! — krzyknie starowina —
dosyć tego bimbania, Onufry! Onufry!
Z okna dzwonnicy wysunął dziad
głowę, ksiądz krzyczał, że dosyć dzwo

nienia, dziad nie mógł dosłyszeć nadstawiając ucha, proboszcz dawał mu już znaki machając ręką, co dziadek wzięwszy za nadzwyczajny rozkaz dalszego dzwonięcia, zaczął na nowo pociągać za sznury. Dopiero wyprawiony w poselstwie organista, ledwie że zdołał pohamować zapalczywość dziadzin.

— Co to z tego będzie, księżu proboszczu? — zapytałem przywitawszy się z poczciwym plebanem.

— Wszystko dobrze, panie kolatorze, dobrze będzie.

— Ależ to zima, nie mają broni, cóż poradzą przeciw regularnym wojskom?

— Poradzą, poradzą, nie bój się kolatorze; widziałem ja to wszystko w trzydziestym pierwszym roku. Niech no ich

raz skropią, mości panie, niech dostaną po tybinkach, to pójdą precz za Wołgę.

Oto, widzi pan kolator, i pan Bóg się o piekuje nimi; jakie to ciepło, cud, praw dziwy cud.

— Myśli proboszcz, że nie będzie zimy ?

— Nie będzie, panie, nie będzie... wszystko musi iść dobrze. A niechno do kołaczą się, aż stryjek brodę rozpuści..

— Jaki stryjek? — pytam niepojmując tego wyrażenia.

— Ot — rzecze proboszcz, śmiejąc mi się w oczy — stryjek, to las, mości panie, niechno liść się rozwinie, to wszystko, mości panie, schowa się w lesie, i szukaj wiatru w polu.

Zostawiłem proboszcza pełnego na dziei, i poszedłem dalej. Przed kuźnią coś mój gorzelany z organistą i kowalem gorliwie pracowali kolo starej z kadzi zdjętej obręczy. Gorzelany pokazywał kowalowi jakąś miarę na lasce, kowal, wielki sensat, potrząsał głową — organista wyrywał kij z rąk gorzelaneo i dawał dłuższą miarę. Za mojem zbliżeniem się, wszyscy schowali się do kuźni, a kowal zaciął gorliwie rozdymać miechem żarzące się węgle.

— Co to, panie Żelazowski — pytam gorzelanego — zepsuło się co w gorzelni ?

— To jest, proszę wielmożnego pana, jakby nic... ogniwo na obręczy od kadzi zacierowej trochę się zarysowało, boję się żeby nie pękła obręcz... i pokazuję panu Mateuszowi, jakby nowe zrobił bez przy mierzania.

— Dyc! — odrzekł z głupią miną kowal, zdziwiony widocznie, że gorzelany tak gładko kłamać potrafi.

— Lepiej na chwilę zdjąć całą obręcz — mówię, udając że się nie poznaję na łgarstwie — tylko szkoda psuć to żelazo z obręczy — możeby lepiej wziąć nową sztabę kutego?

— Eh, proszę wielmożnego pana, i to dobre żelazo.

— Ja też powiadam — przerywa gorzelanemu kowal — że lepiej nowego; to kruche, rozleci ię pod młotem.

Zostawiłem ich w kuźni, a obszedłszy całe gospodarstwo wróciłem do domu na obiad. W sieni czekało na mnie trzech młodych parobczaków, i kłaniając

się pokornie, prosili o pieniądze.
— Przecie to jeszcze nie pora, do
pierwszego mamy dziewięć dni?

— Kiedy wielmożny panie, buty mam
strasznie kiepskie — mówi jeden. —
Kozucha trzeba — dodaje drugi. —
Mnie matka zaniemogła i przysłała, żeby
dać na lekarstwo...

Wszedłem do kancelarji, zabrawszy
ich książeczki służbowe, a w kancelarji
stał już przy drzwiach ekonom Wąsow
ski i mrugał na mnie i mrugał, żeby im
nie dawać pieniędzy.

— Oni chcą iść do Węgrowa, do pow
stania — szepnął mi ciszej.

Machnąłem ręką.

— A któż będzie robił? Do gorzelni
trzeba dziewięciu na rano, ten Żelazow
ski, proszę wielmożnego pana, to chyba
musi jeść ludzi. Zawsze mu mało i ma

ło, a ja do stodoły nie mam nikogo. Pu
ściliśmy rano młocarnię, ani jeden ze
wsi nie przyszedł... to i cóż?

Udałem, że nie słyszę tych narze
kań i zapłaciłem żądającym. Wąsowski
jednak nie mógł wytrzymać.

— Ej, Wałek — przemówił do osta
tniego blondyna, z którym wieczną pro
wadził wojnę — pamiętaj, żebyś mi ni
gdzie nie chodził, bo zobaczysz... ja
wiem...

Wałek nic nie odpowiedział, tylko
spojrzał z podełba na Wąsowskiego, i

wyszedł ponuro, rachując przez drogę
pieniądze.

— Ten Wałek — odzywa się po ich
odejściu ekonom — to z pewnością
pójdzie.

— Niech idzie — mówię obojętnie —
nie lubię tego chłopaka, pal go diabli,

obejdziemy się bez niego.

— Prawda, wielmożny panie, że to la daco kanalja, ale co iaki dureń z prze proszeniem tam zrobi? Gdzie jemu i ta kim drağalom innym przeciw wojsku. Pójdzie wszystko na marność! Służyłem ja ci piętnaście lat i wiem, co to Mo skal; zakomenderują: wperod, i wszystko idzie. A taka hołota z kijami, to co? — drapnie, jeżeli kulka nie dogoni.

— Ej, Wąsowski, radzę ci, nie odzywaj się tak głośno — bo w takich czasach gorących można jak nic pójść do góry... wiesz, o czym mówię. Strzeż się, powiadam, i trzymaj język za zębami.

— Ja też tylko przed wielmożnym panem, bo żal człowiekowi patrzeć, jak to psiarstwo poginie. W rewolucję mieliśmy i harmaty i swoje wojsko, takie co nie ma i nie będzie już na świecie, a jednak Moskał nas przemógł. Ja powiadam wielmożnemu panu, co to wszystko kiego się skończy.

Ledwo mogłem się pozbyć gaduły; dobry był człowiek z tego Wąsowskiego, uczciwy, pilny, pracowity i przywiązany do mnie, ale za to gębę miał wyprawną i straszny prawdomówca. Z tej przyczyny nie posiadał miru między służbą dworską, i każdy, począwszy od pasterza, a skończywszy na gorzelanym, o ile mógł w rozmowie ze mną, starał się przypiąć łatkę Wąsowskiemu. Nie mieszał się do żadnych zabaw, ani towarzystw wiejskich, grosz dusił, nie poczęstował nikogo niuchem tabaki, ztąd uchodził za bogatego. Nie miał żony, a że był dy misjowany podoficer z wojska, wszyscy się go wystrzegali w ostatnich czasach, podejrzewając, że jest niepewnego charakteru i patryjotyzmu.

Pod wieczór przyniósł mi gorzelany wiadomość, że Moskale z dwóch stron ciągną na Węgrów: od Siedlec idą armaty i kawalerja, coś dwa pułki, czy więcej piechoty, a od kolei petersbursko warszawskiej również dwa pułki piechoty. Ci z Siedlec, to już są podobno blisko Szarut, wioski leżącej o małą milkę od Węgrowa.

Wiadomość ta zasmuciła mię bardzo: nie wątpiłem, że źle się skończy powstanie węgrowskie, a w tej chwili

przyszła mi na myśl moja Lepażówka, którą zapewne jutro cieszyć się będzie jaki oficer moskiewski. Korzystał z tej zadumy mój gorzelany i delikatnym głosem zaraportował, że dziś mamy mniej o piętnaście garncy okowity niż zwykle.

— Bo pan tylko biegasz za nowinkami — mówię napół z uśmiechem — a gorzelnia na łasce Bożej.

— Ale gdzie tam, proszę wielmożnego pana, moja żona, która się lepiej ode mnie zna na gorzelnii, nie odstępowała ani na minutę kotła, tylko cóż ja zrobię z tym Wąsowskim: kartofle daje ze psute...

— Przepraszam pana, widziałem te, co dziś wozili bardzo piękne i zdrowe...

— Ale za duże, proszę wielmożnego pana, i co ich wejdzie do parnika? — może pięć korcy mniej, jak małych.

— Przeciwnie, Wąsowski powiada — przerywam mówiącemu — że pan każesz drogiem ubijać kartofle w parniku, i że najmniej pięć korcy więcej idzie, jak trzeba.

— Co też to za łgarz, proszę wielmożnego pana: niech wszyscy ludzie powiedzą, co są przy zacierze, niech wielmożny pan spyta Walka, że codzień muszę się z nim wyklócić o te kartofle...

No, no, jak tam jest, to jest, ja tylko proszę pana, żeby mi więcej nie było takiego deficytu.

Odszedł niby zmartwiony Żelazowski, choć ja wiedziałem dobrze, że te piętnaście garncy okowity poszły gdzieś na bok, a conto wypadków krajowych. Kowal, organista, ogrodnik i cała służba moja tego dnia była pod wieczór w nie zwykłym humorze, nawet Wojciech, lo

kaj, ścieląc ło.ko, kilka razy zaczepiał
mie do gawędki.

Całą noc bożą nie zmrużyłem o
ka: wiadomości zebrane dotąd wpłynęły
na bezsenność, i obawa o jutrzejszy los
tych szlachetnych biedaków, zgromadzo
nych napędce w Węgrowie nie pozosta
wiała żadnej wątpliwości, że wielu z nich
położy tam swoje głowy na ofiarę bie
dnej ojczyzny. Z myśli do myśli cofając
się wstecz, stanął mi przed oczami rok
czterdziesty szósty, potem trzydziesty
pierwszy, potem wojny Napoleona, kon
federacja Barska, wreszcie bitwa pod
Maciejowicami. I tyle ofiar, tyle krwi
przelanej, tyle ucisku, tyle przygnębie
nia, a uczucie miłości i ojczyzny jeszcze
nie zagasło ? Na pierwszy sygnał stają
nowe zastępy z myśliwską bronią, z wi
dłami i kosą w rękach. Nie rachują się

przeciwnika, nie patrzą co będzie jutro, a nadstawiają odważnie i z ochotą pierś swoją na ołów nieprzyjacielski. Jakże tu patrząc na to wszystko, zwątpić o przyszłości narodu, jakże tu potępić to, jakkolwiek nierozsądne przedsięwzięcie, brak zastanowienia, wobec naturalnego, powiedziałbym, instynktu życia, pragnienia wolności — ojczyzny? Rachując zimno, możemy się dziwić — możemy płakać nad tem wszystkim, ale kto widział to własnymi oczyma, komu drgało serce razem z tysiącami serc obrońców dobrej sprawy, ten się nie zdziwi. Bezwarunkowo potępić może tylko nie syn tej ziemi! Wśród tych rozmyślań, nad ranem usłyszałem huk podobny do wystrzału działowego. — To mi się zdaje, myślałem, pewnie w gorzelnii puszczono parę do kadzi z zimną wodą. Lecz nie; huk się powtarza w ten sam sposób — dalej trzeci, czwarty... chwila przestanku — znów słyszę, buch, buch... — Wojciechu! — krzyczę na śpiącego w przedpokoju lokaja. — Wojciechu! — powtarzam, tarmocząc rozspanego chłopaka — niech Antek zaprzęga natychmiast do bryczki... No, biegnij zaraz... a prędzejże...

Rozmarzony wiejski lokaj, a znacie zapewne tego rodzaju śpiochów, zwlókł się z posiana i nieprzytomny wybiegł do sieni. Po chwili wraca i pyta, po co go wysłałem... to mię już zniecierpliwiło do reszty, pobiegłem do gorzelni i tam znalazłem posłańca do stajni o konie. Strzały armatnie słyszeli i inni, Że lazowski oświadczył chęć towarzyszenia mi do Węgrowa, wsiadamy razem z gorączkową żywością do bryczki i wśród ciemności dążymy do miasteczka Liwa.— Droga błotnista w nocy utrudniała po spiech, strzały armatnie powtarzały się od czasu do czasu coraz donośniej. Na reszcie po godzinnej jeździe wjechaliśmy na wzgórze panujące nad Liwem i razem z hukiem zobaczyliśmy błysk strzelających armat. — Biedne rolnicze miasteczko Liw, pamiętne pierwszym starciem w roku oddziału Skrzyneckiego z wojskami rosyjskimi, i dziś miało być widownią także pierwszej walki o niepodległość narodową.

Rozłożona nad rzeką Liwcem mi
ścina ta, odległą jest od Węgrowa może
ćwierć mili, a że obydwie miasta leżą na
jednej dolinie Liwca, więc bez wszelkie
go wysiłku można z jednego zobaczyć, co
się w drugim dzieje.

W Liwie zastaliśmy już ruch nie
zwykły; we wszystkich domach widać
było światła, a gromady ludzi zdążyły
uad brzeg rzeki, aby z pierwszym brza
skiem dziennym zobaczyć plac boju.
Na bagnistem porzeczu Liwca, niby
na jakiej wyspie, stoi starożytna czworo
granna baszta, jako resztką z obronnego
kiedyś zamku. Przed niedawnym czasem
jeszcze, stary notariusz, przedtem pisarz
grodzki, utrzymywał w dolnej izbie kan
celarję rejentowską, lecz ze śmiercią jego
wieża bez drzwi i okien została opusz
czona, a na dziedzińcu byłego zamku,

pały się latem krowy obywateli liwskich, a stada, miejskich gęsi po wyjściu z wody znajdowały chwilowy odpoczynek.

Żelazowski zaproponował, abyśmy ulokowali się w górnym oknie tej wieży, ząd cała równina nadliwska i Węgrów leżały jak na dłoni.

Z wielkim trudem, po jakiejś kładce dostaliśmy się do wyspy, a zamtąd do wieży. Wewnątrz gdzieś były tylko belki i otwory w ścianach po wygnięm drzewie; jednak dobra wola nie doznaje przeszkody. Zaczepiając się rękami wystających cegieł, przeskakując z belki na belkę, dostaliśmy się do okna

na najwyższym piętrze. Dzień już zaczyna przebijać ciemności nocne, mogliśmy po przeze mgłę zobaczyć położenie wojska. Most na Liwcu rzeczywi

ście był spalony: nad wodą wystawały różnej wielkości oczernione pale, droga do Węgrowa z tej strony była pustą. Sam Węgrów, położony z punktu naszej obserwacji na lewo, wygląda pozornie jako większe miasto kościół parafjalny, klasztor Bernardynów i kościółek ewangelicki dominują ze swemi kopułami. Za miastem nieco grunt się podnosi, a zdala zarysowuje się ciemna smuga lasu. Za to, na prawo od miasta, wprost na szczyt wieży, podniesioną lekko i ku miastu spuszczałą się płaszczyzną, prowadzi szeroka, topolami wysadzana droga ku wsi Szarutom — droga ta ginie w lasu Szuruckim. Otóż ten las i tę drogę, wojska otaczające Węgrów, obrały za swoją podstawę operacyjną. Na gościńcu ustawiono dwa działa w asekuracji kawalerji i oddziału kozaków, piechota zajęła stanowisko przed lasem. Pochyleni na siodłach kozacy, jak czajki po moczarach, uwijali się w różne strony, podjeżdżając ku rogatkom miejskim, i uciekając napowrót w wężowatym kierunku. Dwa szwadrony huzarów zmieniało

bezustannie swoją pozycję przy armatach, to rozdzielali się na dwie kolumny, to łączyli w jedną, a konni posłańcy przebiegali galopem przestrzeń między nimi i piechotą, stojącą pod lasem. Działa od chwili do chwili buchały ogniem na miasto, kierując strzały ku słomą pokrytym stodołom na brzegu; widocznie rzucały granaty, bo wkrótce wybuchnął ogień, i słup gęstego dymu rozpościerał się nad miastem. Odezwały się trąbki, przytłumiony odgłos bębnowy dochodził naszych uszu, chmura piechoty ruszyła drogą od lasu, i zbitą masą posuwała się ku armatom. Naraz zatrzymała się kolumna, konni dowódcy kręcili się z przodu i z boku, widocznie niemogąc się zdecydować.

Dowiedziałem się później, że wskutek niedokładnych rozkazów i pomyłki w dacie, oddział, który miał nadciągnąć z lewej strony miasta od Łochowa, nie przybył aż dopiero nazajutrz. Atakujący z tej strony Moskale wyczekiwali hasła czy strzałów, a niemogąc się takowych do słyszeć, nie śmieli iść do szturmu.

Tymczasem w mieście zdawało się

wszystko uśpione: z wybuchem pożaru odezwał się poważny głos dzwonu w jednym kościele, potem przyszły mu w po

moc inne, a pomieszane te głosy, jakby oddalony jęk konającego, stanowiły nie jako tło wśród buku powtarzanych wystrzałów armatnich. Przy samej rogatece tylko widać było niewielki ruch: czarne postacie uwijały się niby gromadki, niby wężowe szeregi, a wśród tego czasami coś błysnęło nad niemi, i znowu zniknęło — domyśliłem się, że to stalowy połysk broni powstańców.

Z bijącym sercem, z wlepionym wzrokiem w tę stronę, patrzyłem na wszystkie te przygotowania, które musiały trwać parę godzin. Nareszcie od szlabanu rogatekowego oddziela się jeden szereg, za nim w niewielkiej odległości, drugi — za niemi niekształtna i rozrzucona trze

cia gromadka. Pokazują się male blade obłoczki dymu nad niemi, słycać trzask jakby uderzania gradu o szyby okien — konnica przy armatach zaczyna się mieszać, i od nich wylatują strzały, kozacy rozbiegają się po bokach z zamiarem o skrzydlenia, a owe szeregi z całych sił biegną po drodze ku działom. Już już, mijają drzewa... w tem huk, huk drugi... i płachta szarego dymu ogarnia biegnących.

— Psiekrwie! — zawoła nagle leżący obok mnie na brzuchu Żelazowski — dam

ja wam! — I wydobywszy z pod surduta długi żelazny nóż, widocznie wczoraj z obręczy ukuty, zaczyna nim machać w powietrzu.

— Co pan robisz? — krzyknę — wybierz mi oko!

— Ja nie wytrzymam, wielmożny pa

nie, niech ich pioruny biją !..

Dym przepłynął na stronę — spojrzę :
kawalerja galopem ucieka do lasu, roz
pierzchnięci kozacy zmykają w tę stronę,
a przodki lawet ciągnione z pośpiechem
w tym samym kierunku, tylko podskakują
po grudzie... Powstańcy już jak mrowie
otoczyli armaty... siadają na nich jak na
koniach, próbują ciągnąć rękami, a inni
posyłają strzały za uciekającą gromadą.
— Odwrócić armaty! — odwrócić! —
i plunąć za nimi kartaczami! — krzyczy
na całe gardło Żelazowski, przekonany, że
walczący usłyszeć go mogąOto zuchy
aż miło!

Tymczasem chwila zwycięstwa nie
długo trwała: nieprzyjaciel zobaczywszy
że tak nieliczny hufiec wystąpił do walki,
było ich może stu kilkudziesięciu, a nowi
z miasta nio przybywają, ochłonał z prze
strachu. Schowani w lesie, zaczynają po
woli wysuwać się na pole;— widzę znów
pochylonych nad koniem kozaków, huzary

formują się we czwórki, a wkońcu i piechota zbitą massa idzie zwolna po drodze. Spozrzegli to powstańcy i również skupili się w jedną gromadkę odstepując armat.— Również powoli, odpowiadając na strzały kozackie cofają się ku miastu, lecz konnica oskrzydla ich coraz bardziej, tamując odwrót. Widzę, zostawiają coraz częściej czarne punkta na drodze, pada też i jeden kozak choć się wywijał z koniem, kręcąc po polu młynka — dwa konie huzarskie wybiegły z szeregu bez jeźdźca, znowu jeden koń runął, ale konnica zastępuje drogę od miejskiej rogatki. ?le, pomyślałem, zginęli biedacy!

Z oczu Żelazowskiego łzy lały się ciurczkiem. Od rogatki nikt nie przybywał z pomocą; pojedyncze figury, które zrazu zapędziły się za powstańcami, uciekają ku żydowskiemu cmentarzowi w naszą stronę, a piechota zbliża się coraz bardziej — strzały padają już urywanym gruchotem, dym zakrywa walczących, wszystko się mięsza, kotłuje, to rozpierzcha w różne strony, to znowu zbija w gromadę — na reszcie grzmią armaty na miasto — dzwoony przestały jęczeć, i cała massa tłoczy się przez rogatki.

Co się działo w mieście, nie moge powiedzieć — dodam tylko, że nieprzyja

ciel nie zastał tam powstańców: częścią w nocy, częścią już w czasie bitwy wynieśli się do Rucheńskiego lasu, a upojony zwycięstwem nieprzyjaciół zakończył tryumf dnia tego, zastrzelwszy w ulicach kilku bezbronnych mieszczan, nauczyciela szkoły miejscowej i w oknie plebanji ku charkę proboszcza.

Milczący, ze skrwawionem sercem, wróciliśmy do domu. Nie miałem siły odpowiadać na pytania ciekawych: z miny naszej poznali wszyscy na czym się skończyło. Sześćdziesięciu kilku bohaterów pochowano na polach Węgrowskich, mój młody znajomy brunecik, któremu wczoraj doręczyłem dubeltówkę, jako dowódcą tego oddziału, położył swą inteligentną głowę w obronie ojczyzny.

Zakres niniejszej opowieści nie pozwala mi zapuszczać się dalej w opisywanie wypadków powstania; jeżeli Bóg życia i zdrowia udzieli, wrócę kiedyś do tego przedmiotu, obecnie muszę śledzić losy mojej Lepażówki. Widząc na własne oczy, co się stało pod Węgrowem i mając inne daleko boleśniejsze strapienia nie pomyślałem nawet o stracie ulubionej strzelby, uważałem ją za przepadłą na zawsze. Tymczasem los figlarz inaczej

postanowił: kilka dni potem, zjawia się do mnie z tajemniczą miną Żelazowski:
— Wielmożny panie, Lepażówka jest.
— Co pan pleciesz?
— Jak Boga kocham jest: Wielądek drapnął z pod Węgrowa po bitwie i przyniósł z sobą pańską dubeltówkę. Wiadomość ta jednak nie sprawiła takiego wrażenia na mnie jak się spo

dziewać należało. Raport o zabraniu broni podany do powiatu, dziś, gdybym ją odebrał, trzeba by znów ją oddać, a w takim razie tłumaczyć się kto, gdzie i kiedy mi ją powrócił. Ukrywać było trudno, zwłaszcza, że wiedzieli już o tem inni, a w końcu zdawało mi się, że Le pażówka, jeżeli miała zginąć, to nie mogła zginąć szlachetniej jak na polu bitwy w obronie najświętszej sprawy.

— To szkoda wielmożny panie zostać więc ją w rękach tego rabusia — rze cze gorzelany, widząc moją obojętność. Pojadę do niego i odbiorę; takiej fuzji nie ma drugiej na świecie, a jak ją schowam w gorzelnii, to sam djabeł nie znajdzie, niech wielmożny pan będzie spokojny.

I namówił mię, że kazałem jechać do Wielądka, Wieczorem, stawił się pan

Jan, a wydobywszy z jednej cholewy buta lufę, z drugiej wy dostał kolbę.
— Oto jest, wielmożny panie — rzeczce podając mi złożoną przyjaciółkę. Dla ocalenia tej fuzji dostałem tego oto guza, dodaje, pokazując zakrwawiony plaster włosów na głowie. Kiedy nas już oto czyli przy rogate, ja widząc, że tu nie ma co robie, wyjmuję zatyczkę, i lufę tak jak teraz do jednej dziurawej kieszeni w spodniach, osadę do drugiej, że gnam się w imię Ojca i Syna i na ośle wpadam między piechotę. Przewróciłem z impetu dwóch Moskali, i w nogi ku żydowskiemu cmentarzowi. Dali za mną ognia — nie trafili; ja, wielmożny panie, przytuliwszy głowę jak zając uciekam dalej... już już dopadam do parkanu cmentarza, aż tu bestja dojechał mie kozuń i chlast pałaszem po głowie. Szczęście, że miałem watowaną czapkę, bo by mi był rozplątał łeb na nic. Nie ujdiesz buntownik, krzyczy i znowu się zamierza. Ja panie łap za dylek z parkanu i stanę do niego oko w oko. Kozak do pistoletu — nienabity, sięga ręką do ładownicy, a ja tymczasem jak lunę konia w mordę, koń uskoczył w tył, a mój kozak fajt na ziemię. Nim się podniósł, a musiała się bestja i potłuc

trochę, bo pijany był jak bela, ja jednym susem byłem za parkanem i chyłkiem po za drzewami, chyłkiem kryjąc się za nagrobki, na drugą stronę cmentarza i dalej w bagna i zarośla nad Liwiec. Nim kozak objechał cmentarz w około już mnie nie zobaczył. Nagroził tylko ręką ku rzece, nagroził i wrócił się do miasta, a ja panie w wodę i na drugi brzeg Liwca. No, teraz już mi nic nie zrobisz — pomyślałem i przeżegnałem się drugi raz i wytarłem fuzję do czysta, bo szkoda takiej strzelby. Nie chwale się wiel moźny panie, ale położyłem dwóch z niej, jak ona strzela kulą, to daleko szukać takiej drugiej...

Podziękowałem serdecznie poczciwemu szlachcicowi za to jego przywiązanie do Lepaźówki, uczęstowałem go, wynagrodziłem, a gdy poszedł, uradziliśmy z Żelazowskim, że najbezpieczniej będzie za murować ją zaraz do gorzelni na strychu. Futerała nie miałem, więc nasmarowa

wszy dostatnio oliwą, okręciliśmy całą powijakiem z płótna, obwiązali szpagatem, potem pakułami i pociemku zanieśliśmy do gorzelni. Sprytny Żelazowski na wierzchu muru, na którym opierały się belki, wykuł głęboki żłobek w murze, tam położyliśmy lepażówkę, nakryli gru

zem, potem ceglami, a na wierzchu za smarowali wapnem tak, że tylko świeży tynk mógł odkryć schowanie.

— Za parę dni wapno wyschnie, proszę wielmożnego pana, ja jeszcze śmiecia trochę na wierzchu posypię i pies się na wet nie dowącha, że ta co zamurowane. Prawda, że się nie dowącha myślałem sobie wróciwszy do domu, ale żebym to ja sam jeden o tem wiedział? Ta współka z gorzelanym odrazu zaczęła mnie niepokoić; zostałem na jego łasce; a wiemy z doświadczenia, że ta łaska

najczęściej za drogo kosztuje. — Poczujęm ja to wkrótce; już i kartofle były dobre, i drzewo suche i słód należycie wyrobiony, a wydatek okowity codzień się zmniejszał.

— Wie wielmożny pan — zapewniał mnie z desperacką miną Żelazowski — że już w głowę zachodzę co się z tą gorzelnią zrobiło ? Czy kto co przez złość za dał, czy co u pana Boga; jak wielmożnego pana szanuję, ja już zgłupiałem.

— A jednak panie Żelazowski — mówię, udając że wierzę temu wszystkiemu — trzeba coś zrobić: jak się nie poprawi wypadnie zamknąć gorzelnię.

— A inwentarz czem wielmożny pan wyżywi ?

— Wolę spaść kartofle, niż dokładać drzewo, robociznę i mieć stratę. Dziewięć kwart okowity z korca kartofli czy to

słycbana rzecz...

— Ha, spróbujemy jeszcze odmienić drożdże; wyczyszczę sam kadzie fermentacyjne wapnem, może się zakwasiły...

Wzięliśmy się tedy do owego czy szczenia ; wydałem kilkanaście złotych na kupno świeżych drożdży, gdzieś z dalekiego renomowanego browaru, sam Żelazowski szukając tych drożdży trzy dni bawił w drodze.

Jakoż poprawił się nieco wydatek; po zażyciu tych sposobów doszliśmy je denastu kwart. Niestety, krótko trwała ta uciecha; piątego dnia spadliśmy do dzie sięciu, dalej bywało raz dziewięć i pół—raz dziewięć i nic więcej.

Męczyła mię i martwić musiała podobna strata, zwłaszcza w tych czasach, gdzie wydatki gotówką rosły w czwórna sób. — Ekonom Wąsowski widział to za kłopotanie moje, i uważałem z jego twarzy, że miał ogromną chęć wygadania się z czemś przedemną ale nie śmiał.

— Eh, wielmożny panie — rzekł jednego wieczora, gdyśmy już ukończyli naradę gospodarską — ja bym wielmożnemu panu coś powiedział...

— Mój Wąsowski, daj pokój; pewnie jaka plotka, a wiesz że ja tego nie lubię.

— Jak wielmożny pan miarkuje, ale to co się po całych nocach dzieje u go rzelanego, to nie jest żadną plotką.

— A cóż tam się dziać może? — py tam niby obojętnie.

— Pijatyka, hulanka do samego rana; przyjeżdżają zkadś rozmaici ludzie, to jego znajomi z Jarnic, to z Liwa, to ja cyś nieznajomi zupełnie i grają w karty. Słyszałem, że nasz przegrał wczoraj więcej niż trzysta złotych...

— Eh, to nieprawda, zkadby on wziął ?

— I ja też tak myślałem, ale że przegrał i zapłacił, to wiem dokument nie, bo mi pisarz żydowski z lasu poka zywał nawet papierki które wygrał od niego...

— No, mój kochany Wąsowski, być może że tak jest, ale powiedz mi co ja zrobię?... wiesz jakie są teraz czasy..

Oj, prawda, prawda, wielmożny panie! odrzekł wzdychając Wąsowski — ale, tylko jeszcze na pewno nie mogę powiedzieć, gadają, że ten propi

nator z Kosowa coś tu w nocy przyjeź
dzał wczoraj i brał od gorzelanego jakąś
baryłki;... Antek powiada, że widział,
jak oba z gorzelanym wynosili z sieni, a

ona im z tyłu świeciła — ja się dowiem
wielmożny panie, ja ich złapię.

— Nie, mój Wąsowski, nie rób tego,
proszę cię — i tak wszyscy na ciebie —
już ja znajdę sposób, że tego więcej nie
będzie, to wszystkiemu winna moja Lepa
żówka.

Roześmiał się pocziwiec i spojrział
mi zadziwiony w oczy. Gdym jednak o
powiedział wszystko, zgodził się, że mam
najświętszą rację.

— Co też to wielmożnemu panu przy
szło do głowy, oddawać się w ręce takie
go urwipołcia. Ten łotr gotów denun
cjować wielmożnego pana do żandarma,
a Moskale nie żartują — w tych czasach

obdarliby pana ze skóry, a może i wywieźli gdzie do Sybiru. Nie lepiej było oddać mnie, którego wielmożny pan zna od lat tylu — jakbym ja schował, to by nawet po śmierci mojej nikt się nie dowiedział kto, gdzie, co...

— No, stało się — mówię — on się o niej dowiedział, on był przytem, jak Wieladek odniósł... Ale trzeba nam to raz skończyć.

— Ba, jakże tu skończyć, kiedy ten łotr wie?

— To też musimy ją dziś wykraść z gorzelni, a ty poczciwy Wąsowski scho.

wasz ją sam tak. żeby i ja o tem nie wiedział; co, dobrze?

— To, to, to, wielmożny panie, to mi z wielmożnego pana mądry człowiek... zaraz idziemy.

— Poczekaj tylko, niech wszyscy za

sną ; my wejdziemy tylnymi drzwiami,
wezmę latarkę ciemną i pocichutku zro-
bimy wszystko. Idź, pilnuj drzwi, aby
nie skrzypiały, i daj mi znać.

Rzeczywiście udało nam się wypra-
wa: wydobyliśmy strzelbę, opatrzyli, czy
gdzie niezardzewiała, odsmarowali na no-
wo, a uradowany niezmiernie Wąsowski
z takiego figła, zabrał ją z sobą i po
dług przyrzeczenia schował, nie powie-
dziawszy mi nawet o miejscu schro-
nienia.

Nazajutrz rano jeszcze leżałem w
łóżku, gdy słyszę, Żelazowski dobija się
do pokoju.

— Kto tam?

— To ja, proszę wielmożnego pana,
gorzelany: mam pilny interes.

Otworzyłem drzwi, przybrawszy serjo-
zną i zagniewaną minę.

— Wielkie nieszczęście! — woła zała-
mując ręce.

— Co, kocioł parowy pękł?

— Jeszcze gorzej, wielmożny panie,
Lepazówkę ktoś ukradł z muru.

— Żartujesz pan! — krzyknę przera
żony — to nie może być — wszak nikt
więcej nie wiedział o niej, tylko ja i pan!

— To też, wielmożny panie, już e
wiem, jak się tłumaczyć — wielme ty
pan gotów mię podejrzy wać, a ja przy
sięgam — zawoła klękając przedemną —
że jak Chrystusa Pana kocham, jak pra
gnę zbawienia duszy mojej, jak moją żo
nę i dzieci kocham — nie wziąłem. Ja
kaś psiakrew musiał podejrzeć, czy co i
w nocy wyjął. Przychodzę rano, mur
rozwalony, a fuzji nie ma...

— Mój panie! — rzeknę rozgniewa
ny — ja nic nie chcę znać, o niczem
wiedzieć, a proszę pana, żeby mi fnzja
była i kwita!

Sumitował się jeszcze, zaklinał, przy
sięgał, ja udawałem, że nie wierzę... i
poszedł prawdziwie zdesperowany do go
rzelni.

Ciągle potem udawałem zagniewane
go. Mój Żelazowski chodził przedemną
na palcach, sypiał nawet w gorzelnii i
takich dokładał starań przy fabrykacji,
żeby mię przebłagać, że wydatek okowi
ty codziennie wzrastał, wzrastał i doszedł
kwart czternastu z korca.

Do końca tegorocznej kampanji miałem spokój w gorzelnii i na wsi; wojska rosyjskie nie zajrzały do nas ani razu, powstanie się rozwijało bez przeszkody, rząd narodowy panował tu bez żadnego podziału władzy. Ze służby dworskiej niewielu zostało na usługach, wynieśli się do partji, uformowano tak zwaną konną żandarmerję narodową dla ochrony publicznej. Po rozbiciu gdzieś jakiego oddziału, wracali cichaczem powstańcy do domów, przesiedzieli ukrywając się czas jakiś, a gdy się okazała potrzeba lub wydano rozkaz, formowali znów oddział, maszerując we wskazane punkta.

Otóż to przesiadywanie w domu miało najgorsze skutki: po wszystkich karczmach w okolicy zbierali się co wieczór urlopowani wojacy, i tam przy kielichu opowiadali ciekawym dzieje wła

snych czynów, dzieje szalonej odwagi. Często przychodziła im chętka popróbować wojaczki na swoją rękę, formowali więc doraźne oddziały z kilku ludzi i szukali moskiewskich szpiegów w okolicy. Dzierżawca mojego wiatraka, Wałek, dawny parobek i kilku z okolicznych wiosek drobnej szlachty, w ten sposób przepędzali wojskowe wakacje, strasząc po nocach Niemców kolonistów, dość gę

sto osiadłych w tych stronach, wyciągając od nich kontrybucję wojenną, którą zaliczali sobie na konto wojskowego żołdu, nieregularnie im przez rząd narodowy płaconego. Żandarmerja narodowa karciała jak mogła owe junackie zachcianki samowolnych partyzantów, lecz sama kryjąc się nieustannie po lasach przed pogonią latających oddziałów moskiewskich, nie zawsze mogła skutecznie ope

rować. Takich wolontarjuszów, po przy
jaźni, używała też często prywatna zem
sta: drobny szlachcic, mający urazę do
sąsiada lub dziedzica większego majątku,
który go kiedyś pociągał do odpowiedzial
ności za kradzież w lesie lub szkody w
polu, chłop oszukany przez żyda arenda
rza we wsi, oficjalista, mający nieprzy
jaciela osobistego we dworze, udawali się
z tajemną skargą do tych odpoczywających
obrońców ojczyzny. Po dobrym trakta
mencie, skarżący znajdował rację u pa
na wachmistrza, wypadło wymierzyć mu
sprawiedliwość, od której uzbrojeni przy
jaciele wcale nie odbiegali. Pamiętam,
w dzień rozpoczęcia żniwa . lipca, prze
budził mię o świcie karbowy, donosząc, ie
nie ma na stacji ekonoma Wąsowskiego.
— Przyszedłem, jak zwykle po klucze
— mówi przestraszony — izba otwarta,

skrzynka rozbita, przyodziewek porozrzucany... a ekonomia nie ma:

Porwałem się z łóżka, przeczuwając nieszczęście i pobiegłem co tchu do mieszkania Wąsowskiego. Rzeczywiście za stałem to wszystko, jak opowiadał karbowy, a prócz tego dostrzegłem nieco rozsypanego prochu strzelniczego na stole. Zapytany Józef, parobek mieszkający w tym samym domu przez ścianę, czy co nie słyszał w nocy, przysięgał się, że spał jak zabity i nic nie wie.

— Proszę wielmożnego pana, człowiek napracuje się cały dzień w tej suszarni, jak się potem położy, to leży jak drewno.

— Boby też wielmożny pan — rzecze kłaniając się ręką ku ziemi jego żona — kazał komu innemu a nie mojemu iść do tego słodu. On się ino obdarł z przyodziewku, wszycko na sobie popalił, a ty le bierze co inni...

Nie mogłem się powstrzymać, aby nie wylajać porządnie tej kobiety, która w chwili takiego nieszczęścia była tyle obojętną i myślała więcej o przyodziewku męzowskim. Doprawdy, ten lud czasami zanadto grzeszy egoizmem!

Badając dalej mieszkańców sąsiednich domów, dowiedziałem się tyle, że około północy zajechała jakaś furmanka,

że wysiadło z niej trzech ludzi, że ci trzech niedługo powracali do wozu razem z ekonomem, że rozmawiali głośno, tak jednak, że opowiadający wyrazów nie mógł dosłyszeć, że Wąsowski palił fajkę i wreszcie, że razem wszyscy gdzieś pojechali. Rzeczywiście nieopodal były ślady zatrzymanego wózka, zostały resztki trawy, którą koniom podrzucano, a dalej widać było jak wózek skręcał napowrót ku głównej drodze wiejskiej, a na tej już zginął ślad wszelki.

Pocieszyłem się trochę tem, że to musieli być znajomi Wąsowskiego, że szedł z nimi dobrowolnie i że nie obawiał się złych zamiarów co do swojej osoby, skoro palił fajkę. — Dałem znać najbliższej jego familji o tem zniknięciu, i zaczęto robić poszukiwania w sąsiednich wsiach i lesie, i niestety pod wieczór przynieśli mi wiadomość że znaleźli go powieszonym o pół mili ztąd w gęstwinie lasu, niedaleko od gościńca.

We wsi rozeszła się nie wiedzieć
z kąd wiadomość, że Wąsowski był szpie-
giem moskiewskim, że kara ta nastąpiła
wskutek wyroku i wykonana przez naro-
dową żandarmerję. Jednak było to wie-
rutnem kłamstwem, albowiem zabrano
mu z mieszkania wszystko lepsze ubra-

nie, zabrano mu pieniądze jakie miał za-
wieszane w torebce na piersiach, a w
kilka dni sam naczelnik żandarmerji roz-
winął energiczne śledztwo poszukując zło-
czyńców.

W takich czasach i w takich warun-
kach, w jakich odbywały się zdarzenia
roku, nie dziw, iż niepodobna było
uniknąć podobnego rodzaju bezprawii; ale
nim się rzecz wyklarowała, ogół wszelką
pogłoskę brał za dobrą monetę, a skut-
kiem napiętnowania biednego ekonoma
nazwiskiem szpiega, nikt prócz najbliż-

szej familji nie poszedł za pogrzebem. Nie chcę nikogo obwiniać, lecz bo daj czy mój Żelazowski nie umaczał w tem ręki, bo co do Walka i dzierżawcy młyna, późniejsze dochodzenie wykryło całą prawdę. Eto był ten trzeci nigdy się nie wydało. Okoliczność ta zrobiła na mnie jak najboleśniej sze wrażenie, raz że mi było serdecznie żal tego człowieka, powtóre, że będąc w takim otoczeniu, które z najzimniejszą krwią posuwa się do zbrodni dla osobistej zemsty i rabunku — można się w razie danym wszystkiego obawiać. Podwoiłem zatem ostrożność koło domu i patrzyłem przez szpa ry na nadużycia, jakich się cała moja służba dopuszczała.

Na miejsce zabitego, wziąłem jedno go z gajowych tymczasowo do zarządu gospodarstwa: był to poczciwy, również z

drobnej szlachty pochodzący, Szczepan Dąbek, ale widząc co się z poprzednikiem jego zrobiło, stał się więcej sługą niż przełożonym swoich podwładnych. Przynajmniej co do strzelby miałem zapewniony spokój — uważałem ją za straconą, gdyż nie wiedziałem gdzie ją rzeczywiście ukrył nieboszczyk, a w takich czasach nie miałem żadnej ochoty robić jakiegobądź poszukiwania, Los jednakże, podobnie jak z owemi pantoflami kadego, inaczej zrządził. — Szczepan objawszy zarząd folwarku i budowli gospodarskich, dostał klucze od małej komórki, stojącej koło spichlerza, w której przechowywały się różne materiały i narzędzia gospodarskie, piły, chomonta, żelaziwo i inne drobniejsze sprzęty. Przeglądając i spisując te wszystkie rzeczy, ciekawy z natury, szperał po różnych kątach na dole i na strychu, dość, że przypadkiem natrafił na nie szczęśliwą Lepażówkę, schowaną w strzesze owego budynku. Znalazłszy, był tyle uradowany czy nieostrożny, że zniósł ją na dół do światła, i niespodziewając się aby kto mógł zobaczyć, w otwartych

drzwiach zaczął odwijać sznurki opasa-
jące opakowanie. Trzeba nieszczęścia pra-
wdziwego, że właśnie podtenczas licho
przyniosło tam Żelazowskiego, który dla
jakiejś potrzeby szedł do gumien. Je-
dnym rzutem oka poznał on natychmiast
Łepażówkę, lecz nim zdążył wpaść do ko-
mórki, Szczepan zatrzasnął drzwi na
klucz i schowawszy do kieszeni wsiadł
na konia i pojechał w pole.

— Wielmożny panie! — krzyknął go-
rzelany, wpadając do mnie podczas o-
biadu — znalazła się zguba, jest majster,
który wyprowadził z gorzelni Lepażówkę!
Gdyby mie piorun uderzył, nie do-
znałbym większego wstrząśnienia, aniżeli
na wiadomość, przyniesiona przez tego
człowieka.

— Ktoby się to spodział wielmożny
panie, że ten Szczepan taki majster.

— Zdawało się panu — rzeknę ochło-
nawszy nieco.

— A cóż to ja nie znam wielmożnego
pana strzelby czy co? Nawet w tem sa-
mem obwinieciu jest jak leżała zamuro-
wana w gorzelni... Odwiązywał sznurki

jak nadszedłem, ale sprytna bestja tylko
mię spostrzegł, trzask drzwiami i na
klucz... Ale wielmożny panie dość mi
raz rzucić okiem... poczekaj bratku.

Szczepan był w polu, nie było sposob
ności sprawdzić, — rzekłem więc obo
jętnie, że jak wróci Szczepan, to go za
pytam.

— Albo on się przyzna?

— Ha, to cóż mu zrobię?

— Wielmożny panie, odbić zamek w
komorze zaraz i przekona się wielmożny
pan, że jest.

— Chybaś pan sfiksował — mówie.

Cóż to, Szczepan ucieka, żebym gwałty
robił, jeżeli jest, to odda.

Ledwie, że pozbyłem się gorliwego
przyjaciela mojej strzelby, lecz po jego
wyjściu czarna troska osiadła mi na du
szy. Co ja tu pocznę nieszczęśliwy czło

wiek, jak ją wydobędę z rąk Szczepana gdzie schowam? Myślałem, myślałem, biedziłem się i nic nie mogłem wymyślić. Nie ma rady, trzeba ją znów wykraść z komórki, ale jak? Miałem ją wprawdzie jeneralny klucz swój własny, który wszystkie zamki w budowlach dworskich otwierał, tylko jak tu pójść wśród dnia nim wróci Szczepan, a znowu jak wróci to schowa fuzję tak, że jej w nocy nie znajdę. Biorę się tedy na sposób i przed wieczorem ide w pole gdzie dozorem orki zajęty był ekonom — a udawszy, że mam pilny interes do Węgro

wa proszę aby natychmiast pojechał od dać list na pocztę.

— List dla mnie nadzwyczaj ważny, — mówię oddając mu takowy, — boję się żeby inny posłaniec nie zgubił — proszę cię, Szczepanie, jedź sam na koniu.

Nie domyślając się niczego pojechał,
a ja tymczasem, gdy się ściemniło i
cała służba poszła na kolację, otworzy
łem komórkę i strzelbę przyniosłem do
domu. Chwała panu Bogu! połowa dzieła
zrobiona, co będzie to będzie, ale Żela
zowskiemu nie uda się trzymać mię w swo
jej mocy. Teraz co z nią zrobić, gdzie
schować? W mieszkaniu niepodobna: przy
pierwszej rewizji, o którą nie było tru
dno, Moskale znajdą i pakuj się panie
Ignacy gdzieś tam do Krasnojarska albo
i dalej. Z Warszawy, nie za takie rzeczy
jak przechowywanie broni, tysiącami co
dziennie wyprawiano starców nawet, ko
biety i dzieci; chciałem już spalić osadę,
lufę porąbać i wrzucić do sadzawki,
ale gdym spojrzał na biedną Lepażówkę
jak pokornie spowita leżała pod łóżkiem,
tak mi się jej żal zrobiło, że ona tyle
już wycierpiała, tyle się naponiewierała
w swem życiu, że zdawało mi się, po
pełniłbym zbrodnię nad zbrodniami, za
bijając z dziecinnych lat przyjaciółkę.

Nie — raczej pojedę do Krasnojarska, a nie oddam jej nikomu.

Schować znów gdzie koło domu — niebezpiecznie; zakopać w ziemi rdza zje... trzeba gdzieś chyba w lesie wsadzić w dziuplę drzewa... Ten pomysł bardzo mi się spodobał, i poczekawszy jak wszystko się we dworze uciszy, około północks ru szyłem do lasu.— Tymczasem już z wieczora deszcz lunął rzęsiście, na dworze ciemno, że na krok nic nie widać. Lecz ja nie pytam, a okrywszy się burką, brnę z fuzją przez rozmoknięte pola. Ani drogi nie mogę znaleźć, ani miedzy żadnej, lecz kierując się na chybił trafił w stronę lasu. idę i idę prosto przed siebie. Jak długo szedłem, nie mogę powiedzieć, jednak poczułem silne zmęczenie, z grzęzkiej ziemi nie mogłem zabłoconych nóg wy ciągać. Deszcz leje coraz lepszy, odzienie kompletnie przemokło, szalony wicher świszczę w uszy jak podczas nocy Wal purgi, zdaje mi się, że dawno już powinienem być w lesie — a tu pole i pole, żadnego drzewa ani krzewiny. — Fatalne położenie — widocznie zmieniłem kierunek i błędę po swoich polach. — Nie ma ratunku, próbujmy dalej, przecież gdzieś dojdę nareszcie. Wyciągam ostatek sił,

a w tem płaczą mi się nogi w kamieniach

upadam. Trafiłem na jedne z gromad kamieni polnych, o które na zasypanych niemi rolach podlaskich nietrudno; — sum rok rocznie kazałem zbierać te rozrzucone kamieniska i składać w ogromne kupy, otóż znalazłem jedne z takich kamienic, jak tam je nazywają. — Dalej iść niepodobna — przychodzi mi więc myśl za grzebać moją Lepażówkę w takiej kamienicy: odpocząwszy trochę, zapalam z trudnością latarkę, rozrzucam spiczasty czub tej pryzmowatej gromady, i układam jak można najgłębiej nieszczęśliwą strzelbę. Położywszy, nakrywam napowrót kamieniami tak, aby uformować nad nią sklepienie, a potem zakończę pryzmę jak była przedtem. — Niech się dzieje wola Boża, tu jej już nikt nie znajdzie. Poczyszony więc tą myślą, dopoma

gając sobie już światłem latarki wracam nad ranem do domu. Proszę sobie wyobrazić głupowate zdziwienie mojego Wojciecha, gdy rano zobaczył przemoczone i zabłocone ubranie. Widział mię wczoraj, gdy ni się kładł do łóżka, był zatem przekonany, że jakiś zły duch musiał przez całą noc hasać w mojej burce.

Między Szczepanem i Żelazowskim wybuchła gwałtowna scena nazajutrz. Ekonom nie wiedząc, że ja mam drugi klucz

od komórki, zapierał się do ostatka, że nie widział żadnej dubeltówki, jedaak nie chciał otworzyć drzwi i pozwolić rewizji. Żelazowski znowu, który piluował ekonomę od czasu jego powrotu z Węgrowa, i widział, że ten nie był do tego czasu w komórcie, był pewny że fuzja tam jest, i nie odstępując Szczepana na krok, sprowadził go do mojej kancelarji.

O wykradzeniu dawniej dubeltówki z gorzelnicy wiedzieli wszyscy, więc gdyby ją teraz u ekonoma znaleziono, cała sprawa zwałaby się na jego głowę. Żelazowski napierał się koniecznie rewizji, więc i ja też chcąc nie chcąc musiałem użyć powagi gospodarza i we trzech poszliśmy do owego składu.

— A widzi wielmożny pan — szepnie mi po drodze Żelazowski — jak spuścił nos na kwintę, zobaczymy czyja prawda i dowiemy się kto jest takim majstrem we dworze.

— No — rzecze szukając drżącymi rękoma w pęku kluczy Szczepan — ja tam nie wiem, co tam jest w komórce, odebrałem wszystko jak Wąsowski zostawił... kaduk ta wie, może ją nieboszczyk schował.

— Aha! inaczej pan śpiewasz, co? — pyta błyskając oczami gorzelany — A czegoś to wasan tak wczoraj raptem drzwi

zamknął?... łatwo zganiać na nieżywego, ale my znamy ptaszka, co umie łązić po nocach na gorzelnię... Ładna fuzyjka przy dałaby się, ja wiem, bardzoby się przydała panu.

Szczepan nic nie mówił, ale widziałem, że otwierając drzwi zbladł jak ściana. Gorzelany jak kot skoczył do komórki, i prosto w to miejsce, gdzie wczoraj nagle schował fuzję ekonom.

— A co? jest, jest? he, jest? — pytał czerwieniejąc się raptem z radości i ze zdziwienia Szczepan.

— Nie tu, to gdzieindziej, a jest! — do wolził energicznie Żelazowski, i z zaciekłością gończego psa zaczął odbywać rewizję w komórce. Ja stałem przypatrując się temu z powagą, a ekonom w miarę jak rewizja posuwała się dalej, nabierał co raz więcej odwagi cywilnej, i dotkliwymi słowy prześladował gorzelanego, dając mu nazwy donosiciela, szpiega, podszczuwacza i tym podobne. Łagodziłem ile możności tę kłótnię, bo Żelazowski przysięgał się na wszystko, że widział na własne oczy... ale zacietrzewieni przeciwnicy już brali się do bicia.

— Gdzież więc fuzja? — pytam po skończonem przetrząśnięciu całej komórki

od szczytu do podłogi. Jak to źle panie Żelazowski, ie robisz hałasy...

— Musiał wynieść ten, ten...

— Bogiem się świadczę, że od tego czasu, kiedy to pan miałeś zobaczyć tę fuzję nie byłem w komórce, a klucze miałem przy sobie... Niech powiedzą ludzie, a i wielmożny pan zaświadczy, że prosto z pola pojechał do Węgrowa na pocztę, dziś znowu sam pan gorzelany spotka! mię kiedym wracał...

Nie było czemu zaprzeczać; ja po groziłem tylko gorzelanemu, ująłem się za Szczepanem, i wyprawiłem każdego do swojej roboty. Od tej chwili zaczęła się jawna nieprzyjaźń między obydwoma oficjalistami, która jednak nie doprowadziła do takich rezultatów, jak z Wąsowskim, raz, że Szczepan był lubiany, a po drugie, że w kilka dni potem przysłano na stałe kwatery do wsi rotę wojska z Węgrowa.

Żaden z nich nie podejrzewał mię o udział w tej sprawie, umiałem zachować minę neutralnego, lecz łatwo pojąć co oni sobie mogli myśleć i jak wytłumaczyć zniknięcie broni.

Moskale jak szare gęsi rozgospodarowali się u nas. Kazano mi dać kwaterę we dworze dla kapitana, kazano dostar

czać wszystkich potrzeb na utrzymanie nie tylko jego, ale wszystkich oficerów kompanji. Hałasy, śpiewy, pijatyka i gry w karty odbywały się codziennie; kapitan grzeczny po moskiewsku, dysponował wszystkim jak u siebie, moją wódką częstował żołnierzy podczas prazdników pułkowych, z mojej mąki kazał piec dla nich bułki, wieś i okoliczna szlachta dostawiała żywność dla roty, a mnie jako wójtowi gminy, kazał sobie co miesiąc wydawać świadectwo, że rota dzień

w dzień w pochodzie, jak się wyrażał,
dla szukania buntowników, i że gmina do
niego jako dowódcy, za wszelkie dostawy
dla ludzi i koni żadnej nie ma pre
tensji.

Podczas ich pobytu, miałem zabawne
zdarzenie, które choć nie należy do przed
miotu niniejszego opowiadania, jednak
muszę czytelnikom opisać :

Do owego kapitana, zjechała młoda
i przystojna żona z dzieckiem, — kwa
tera u mnie wydała mu się za ciasną,
kazał sobie zatem dać inną w plebanji.
Z przybyciem kobiety, ożywiło się ży
cie towarzyskie panów oficerów, a że i
pani miała swoich w pułku wielbicieli,
zatem od rana do nocy nawiedzali ich
różnego rodzaju adjutanci, kwatermistrze

i podobni im z pułku, którego sztab
główny konsystował w Węgrowie. Sam

pułkownik nawet przyjeżdża! czasami, ale najczęściej młodzi moskiewscy galanci, niby to panicze mówiący już po francuzku.

Jakoś na wiosnę roku wypadły imieniny pani kapitanowej, spodziewano się wielkiego zjazdu, a na ten bal dostałem i ja zaproszenie. W takich czasach prośba była rozkazem, tembardziej, że niedrażniąc tych zbirów można było czasami być użytecznym tym wyłanianym biedakom naszym, których pod konwojem dość często przywożono. Jakkolwiek kapitan ten był nieubłagany wrogiem Polaków, to ona jednak, gdym potrafił polecić jej próżności kobiecie, wymogła czasem uwolnienie, a przynajmniej ludzkie obejście się z aresztowanymi. Otoż mimo pięknych dochodów i kontrybucyj wybieranych na swoją rękę z okolicznej szlachty, kasa pani kapitanowej zawsze była pustą. Na te więc imieniny kazano ich służącemu, zwanemu dienszczykiem, postarać się o drób. Sołdat nie zadawał sobie długiej pracy, poszedł w nocy do mojego kurnika i ściągnął z tamtąd parę indyków. Zaraz w nocy kucharz kapitana zabił je, oskubał z pierza i

przyrządził do pieczenia. Na drugi dzień podano je na obiad, wszyscy jedząc u nosili się, że taka sławna indziejka, i ja także jadłem swoje indyki i chwaliłem za drugimi.

Ale wróciwszy do domu, zastałem gwałt i rwetes : gospodyni traciła głowę z desperacji, że jej dwa najpiękniejsze indyki ukradziono, a jak zaczęła śledzić, dochodzić, szukać pierza na podwórze plebanji, pokazało się, że też same indyki były podane dziś na obiad u ka pitana.

— Proszę pana — woła, wpadając do mnie Szadkowska — pan musi oskarżyć tego Piotruszę przed kapitanem.

— Ależ moja Szadkosiu, jakże to...

— Nic nie pomoże, pan musi; niech go zatłuką pałkami tego złodzieja. Najpiękniejsze indyki, którem własną ręką karmiła gałkami owsianemi, i które miał pan wziąć z sobą dla siostry na święta wziął łajdak. Ukręcił kłódkę w nocy, cóż to, rozbój, czy co?

— Widzisz bo moja Szadkosiu, pal ich

kaczki i z indykami... on to zrobił dla kapitana.

— Żeby nawet dla samego cesarza, proszę pana, to ja temu Piotruszowi nie daruję. Cały dzień boży siedzi tu w ku

chni i daje temu złodziejowi wszystkiego co potrzeba; i włoszczyzny i ogórków i wódką poczęstuję nieraz, ale to złodziejska moskiewska natura, na nic nie pyta.

Jeżeli wielmożny pan tego nie zrobi sam, to ja pójdę do pułkownika na skargę, jak tu przyjedzie, albo do samej kapita nowej, niech go ubiją, rozbójnika.

Zawzięła się baba i ani sposób ją było umitygować — jak pan nie dba o swoje, to ja muszę dbać, a jak i tak nie, to dziękuję za służbę.

Cóż miałem robić, przyrzekłem, że jutro pójdę ze skargą do kapitana. Przy tem i mnie zaintrygowała ta sprawa,

niezmiernie byłem ciekawy, jak się też kapitan z niej wywinie.

Jakoż na drugi dzień, kiedy powstała starszyzna po owym balu i obcy się rozjechali, poszedłem na plebanję i oznajmiłem o kradzieży.

Zaczerwienił się okropnie w pierwszej chwili kapitan, jednak nie stracił fantazji. Udał straszliwie zagniewanego na Piotruszę... ja słuchałem cierpliwie tych narodowych wymyślać kapitana.

— Ot ten a ten — mówi do mnie — żona jemu dała dieńgi na kupno indziej ków, a on dieńgi w karman i u was

zwarował... ja jemu dam... ach uwidisz ty Pietrosza, ja tobie dam!

— Proszę pana kapitana, niech go pan każe tu przywołać — rzeknę z flegmą, widząc, że mój kapitan krzyczy, wymyśla, ale nie spieszy się z ukaraniem.

— Piotrusza! — krzyknie, uchylając drzwi od kuchni. Piotrusza zasmolony, rozczochrany i niewyspany staje przy drzwiach w postawie żołnierskiej.

— Ty... (opuszczam tu epitety mo skiewskie) — krzyknie, przyskakując do niego z zacisniętymi pięściami — ty zwa rował indziejki u pomieszczyka ?

— Toczno taks — odpowiada, nieru szając się i niezmieniając pozycji.

— Ach kanalja, ach taki i taki, jak ty śmiał, jak ty mógł... — woła, cho dząc żywo po pokoju. Co skończy jedną litanję doborowych wyrażeń, rozpoczyna drugą — znowu wraca do pierwszej, wy najdując wszystko, co tylko ruski sło wnik w tym względzie posiada.

Żołnierz stoi jak martwy i po służ bie wodzi okiem za kapitanem, gdy ten z jednego kąta pokoju przechodzi na dru gi. Ja czekam tej kary i milczę, i u śmiecham się z komedji kapitana, nie zmiernie ciekawy, co on tu dalej pocznie.

Wiedziałem, że nie będzie śmiał karać go za to, co mu sam kazał zrobić...

Po pół godzinie takich wymyślać, staje nareszcie przed nimi pyta:

— Ty moje dumajesz, co ja tobie każę dać sto pałek, he?

— Toczno tak wasze błaorodje — odpowiada stereotypowo Piotrusza.

— Niet, sukin syn, ja znaju szto by ty chciał... niet, ja tego nie zdiełaju!...

I znowu chodzi zagniewany po pokoj, i znowu zbliża się ku żołnierzowi.

— Ili ty dumajesz, co ja ciebie wsadzę do aresztu na jaki miesiąc?

kołnierz znów powtarza swoje: toczno tak wasze błagorodje.

— Niet i etoho nie budiet... ja tobie mówię, że i tego nie budiet...

No, myślę sobie, to on go chyba chce wysłać na Sybir, czy rozstrzelać. Zapewnie toż samo musiał myśleć i żołnierz, bo uważałem, że twarz mu się skrzywiła i wzrok oniemiały jeszcze się głupszym wydał.

— Niet — powtarza stając przed nim z determinacją — ja tego wszystkiego nie zrobię, co byś ty chciał, ale ja tobie nakażę wstydzić się żeś ty taki nie godzi wiec i złodziej... Sluchajno brat — I

mówi dalej z powagą popa — czy ty masz sumienie, co?

Żołnierz potwierdza, że ma.

— Ot, widzisz jak to bezwstydnie jest dla żołnierza cesarskiego z pierwszej strzeleckiej roty być złodziejem. Co powie na to pułkownik, co powie generał dywizji, co powie korpuśny — a co powie wiedziałby sam gosudar, gdyby się do wiedział, co? Powiedziałby, że Piotr Aksentjewicz jest złodziej i podlec, sukin syn, znajesz ?

— Znaju — odpowiedział tym samym tonem żołnierz.

— No, kiedy znajesz, Piotr Aksentjewicz, tak pomniże co ja tobie powiedziałem i paszoł won!

— Otóż widzi pan — mówi do mnie po odejściu żołnierza, — takie teraz są przepisy cesarskie do postępowania z żoł

niezami. Obudzać ambicję, godność osobistą w człowieku — ot panie, jak go sudar teraz rozkazuje, żadnych pałek, żadnych gróźb, a tylko ambicja, przede wszystkim ambicja!

Wróciłem do domu ubawiwszy się tego rodzaju karnością z woli carskiej zaprowadzoną w armji, a Szadkosi powiedziałem, że kapitan dał sześć rubli

za indyki i na tem skończyła się sprawa z jej tryumfem, bo rozpowiedziała później w kuchni, że pan musiał ją usłuchać i że sześć rubli piechotą nie chodzą.

Przez całą zimę miałem spokojną głowę o Lepażówkę, choć ubolewałem, że od wilgoci może ucierpieć. Zawsze przez kamienie, choć je szczelnie ułożyłem, przecieknie woda i żelaziwo zje rdza ze wszystkim. — Ale cóż było robić ! Kochany czytelniku nie gniewaj się,

że tu nie koniec jeszcze przygód moich i Lepażówki; na wiosnę nastąpiła nowa bieda groźniejsza od dotychczasowych. Pan kapitan troskliwy o ćwiczenia wojenne swojej kompanji, kazał wyszukać odpowiednie miejsce dla ustawienia tarczy do strzelania. Młodszy oficer z kilkoma żołnierzami obeszedł moje pola, i na odlegu niezasiłanym, wybrali równinę, odmierzili dystans strzałowy i kazali usypać wał odpowiedni.

Trzeba zdarzenia, że właśnie meta z której żołnierze mają strzelać do celu, wypadła obok tej kamienicy, w której zachowana była dubeltówka. Późno już, bo w sam dzień pierwszego strzelania, przypadkiem dowiedziałem się o tem a niechcąc

stracić chwili czasu, niby z ciekawości wyruszyłem z wojskiem na oznaczone miejsce.

Rozpoczęło się strzelanie, ja usiadłem na gromadzie owych kamieni i pilnowałem, aby przypadkiem nie zbliżył się który żołnierz ; siadając mogły się obsunąć kamienie, fuzja wylazłaby na wierzch, a że ją znali wszyscy ludzie na wsi, wykazałoby się zaraz że moja, a pan kapitan potrafiłby z tej okoliczności przyśłużyć się buntownikowi.

Do samego wieczora siedziałem na owej kamienicy i zszedłem z niej ostatni. Oficerowie dziwili się mojemu amatorstwu strzelania i proponowali abym próbował... ledwie się wymówiłem.

Znowu nowa bieda, trzeba w nocy maszerować w pole i ciągnąć biedną fuzję gdzie w inne miejsce. Mimo rozstawionych placówek naokoło wsi, które co noc skrupulatnie i dość gęsto zaprowadzano, przekradłem się w pole i wydo stałem moją Lepażówkę. Doprawdy, już rozpacz mnie brała, gdzie tu ją schować i co z nią zrobić. Wracając ku domowi, rozwiązałem opakowanie i po ciemku nawet mogłem namacać liczne plamy rdzy na lufie; miałem z sobą oliwę, odsmarowałem jak mogłem, i rozdzieliwszy lufę

od kolby, każdą część z osobna wsadzi
łem w strzechę stodoły, stojącej daleko
na łąkach dla sprzętu siana. Schronie
nie to miało być tymczasowe, dopóki pó
źniej coś lepszego nie wymyślę.

Zeszło dni kilka, jakoś nie miałem
czasu czy sposobności przeniesienia w in
ne miejsce dubeltówki, jednak po połu
dniu puściłem się na łąki, zobaczyć czy
dobrze ją podczas nocy ulokowałem. Mo
żecie sobie zatem wystawić moje przera
żenie, gdy zbliżywszy się, zobaczyłem
błyszczącą lufę na wierzchu poszycia.
Schowałem ją dobrze, ale w nocy pow
stała taka burza gwałtowna, że wiatr jak
czuprynę małego chłopaka pozadzierał
snopki poszycia do góry, i moja lufa
utkwiona jednym końcem w słomę, dru
gim sterczała kompletnie odkryta. O ile
się dało, ukryłem ją w tem samym miej
scu z zamiarem przeniesienia w nocy
gdzieindziej.

Przyznaj czytelniku, że wśród takie
go fatum, można się zadesperować i stra
cić nawet wszelkie przywiązanie do tak
pamiątkowej rzeczy. Jednak nie było co

robić; wleźliśmy raz w błoto, brnijmy dalej.

W ogrodzie, w samym zakątku, otoczona drzewami stała lodownia, której

gruby słomiany dach wystawał nad ziemię, — w strzechę więc tę, nocną porą ukryłem Lepażówkę, oddzielnie lufę, oddzielnie kolbę i byłem pewny, że tu już wichur nie zrobi mi niespodzianki.

Wichur rzeczywiście nie zawiódł moich oczekiwań, i do jesieni roku, strzelba spoczywała tam spokojnie, i były chwile, że zupełnie o istnieniu jej zapomniałem.

Nastaly już inne czasy, kapitan nie miał co łowić po lasach, ani za co na kładać kontrybucji na okoliczne wioski. Błąkające się resztki powstańców niknęły z wolna, a zatem i dochody pana kapita na zeszyły do zwyczajnej gaży oficerskiej.

Jednak znalazł on źródło nowych korzyści, którem zrobiło się polowanie. Kilka razy w tydzień wyprowadzał całą kompanją na obławę do lasu — postępując łańcuchem, zabijali wszystko, co się tylko nawinąć mogło: dziki, sarny, zające padały od strzałów żołnierzy, w braku powstańców mścili się na zwierzynie, którą pan kapitan rozsyłać miał na prezenta dla starszyny, a rzeczywiście sprzedawał pokryjomu handlarzom do Warszawy. Wytrzebiwszy moje lasy, posunął się do sąsiednich, tak, że w ciągu tej zimy nie zostało ani jednego zająca

w okolicy. Patrzyliśmy z boleścią na taki rabunek — o skardze jakiejś lub o pozycji niepodobna było i pomyśleć. Lepażówka moja jeszcze raz ostatni zrobiła mi kłopot — powodem do tegoż był mój ogrodnik Andrzej, którego dotąd

nie znają czytelnicy.

Malutki, wygolony jak żokej angielski, w brązowym liberyjnym surducie i palonych butach, był typem sługi wielkich panów, a którego następczo mi jako jedyną w swoim fachu doskonałość.

Był żonaty, bezdzietny i kapitalista, udzielający pożyczek na zastawy gruntów drobnej szlachcie i włościanom.

Zawsze kłaniał mi się uniżenie, zdejmując czapkę przed pałacem, tak bowiem nazywał mój ubogi dworek. Sad z trochę olszyny nad rzeczką miał szumną nazwę parku, a moja osoba tytułowała się jasnym panem hrabią. Nic nie pomogła opozycja — zawsze hrabia, pałac i park były na jego ustach. Kiedy go przyjmowałem, ma się rozumieć za dobre pieniądze, ułożyliśmy szerokie plany na mój ogródek dworski: tu klomby, tu gaiki, tu kręte ścieżki, tam winnica i szparagarnia, była mowa o truskawkach i ananasami, a wszędzie mnóstwo łacińskich nazw krzewów, kwiatów i roślin,

które ja, prostaczek szlachecki, przyjmowałem w najlepszej wierze. Gospodyni moja Szadkowska, która miała także pretensję do znajomości ogrodnictwa, kładła nacisk na warzywa — Andrzej tylko kiwał ręką, uśmiechając się pogardliwie, że takie rzeczy dla niego drobnostką, o której rozmawiać nie warto.

Pierwszy rok jego gospodarstwa w ogrodzie nie wypadł wcale pomyślnie: tysiące przeszkód i żywiołów spiknęło się na roboty mojego artysty ogrodnika: rozsądę na kapustę zjadły mszyce i mu sieliśmy do sadzenia u kobiet wiejskich kupować, w inspektach pojawiły się myszy i poprzecinały pędy ogórków i melonów; nasiona cebulki, porów, selerów, przez samego Andrzeja u renomowanych ogrodników kupione, nie powschodziły, zamiast kalafjorów urodziły się flance rzepaku, pietruszka nie mogła się udać, bo była siana z wiosny, a trzeba ją siać pod zimę — latorośle winogron obcinała żona podczas nieobecności Andrzeja, który kopał wtedy dzikie płonki do szkółki po lasach — i obcięła tak nieszczęśliwie że właśnie te, co rodzić powinny.

— Proszę jaśnie pana hrabiego, czło-wiek się nie rozerwie — mówił do mnie

— idź tu, rób to, dopilnuj tego, gdzież

tu człowiekowi dnia starczy... Moja żona i tak bez obowiązku pracuje ciągle w o grodzie.

— A ogórki gdzie? — pyta Szad kowska.

— Moja kochana pani — mówił sło dziutko Andrzej — ładnie zeszły, ładnie kwitły...

— Ale na pusty kwiat.

— otóż widzi pani, że prawda — to ten psiakość ogrodnik dał takie świeże nasiona, niechże tu kto przyzna, jakże tu wierzyć teraz ludziom.

Nawet iednego agrestu i porzeczki nie było — zarzuca znowu Szadkowska — tak, że na galeretę nie mam nic do smarzenia.

— A widzi pani Szadkowska — nigdy po przesadzeniu w tym roku nie rodzi

agrest... a trzeba było przesadzić, bo to takie gęstwiny były.

Słowem, mieliśmy tylko sałatę, którą z tryumfem co dzień przynosił Andrzej do kuchni na potrzeby dworu — mieliśmy bób i kartofle, które Szadkowska na puste kwatery posadziła, mieliśmy pod sznur wycięte uliczki piaskiem posypane i pięć nowych ławeczek z darciny.

Pan Andrzej i jego godna małżonka, mimo całej pozornej dobroci, kłócili się i bili po całych nocach. Przyjaźń z gorzelanym i traktamenta osób pożyczających od nich pieniędzy, dostarczały środków rozweselających humory państwa ogrodników. Andrzej rozczulony przypominał sobie wtedy, że nie ma dzieci; z płaczu nad tym nieszczęściem przychodził do robienia wymówek żonie, które

kończyły się stereotypowo co wieczór te mi słowami: „gdybym zamiast ciebie trzymał krowę lat tyle, dochowałbym się już stada cieląt, a z ciebie co mam ?”

Pani Andrzejowa unosiła się, obrażona taką mową małżonka i karciała czynnie podobną zuchwałość, a gdy i to nie pomagało, nazajutrz zabierała się do porzucenia męża. — Tak było i tym razem.

— Jedź, jedź moja kochana — mówi niby łagodnie Andrzej, tylko zostaw mi klucze od skrzynki.

Żona oddała klucze, pakując swoje manatki; najęła furmankę we wsi, pożegnała się ze wszystkimi znajomymi, za nosząc się od płaczu. — Kiedy już spakowano wszystko do wozu, Andrzej otworzył skrzynię i dostrzegł że nie ma worka z pieniędzmi.

— Oddaj! — zawoła, trzymając konie za uzdy.

— Nie oddam.

— Oddaj, bo cię zabiję.

— Nie oddam — tłumaczyła się ze śmiechem baba — bo nie wzięłam nic twojego.

— Ja poszukam — czekaj człowieku— woła do furmana.

Żona pozwoliła na rewizję, on obszukał wszędzie, między ubraniem, w zawiątku, po kieszeniach i znajomych mu schowkach, worka ze srebrem nie było.

— Antosiu, bój się pana Boga — powiedz gdzie się podziała moja praca, tyś wzięła ?

Kobieta się wy przysięga, zaklina na czym świat stoi — on z prośby przecho dzi w gniew — z gniewu w szaleństwo.

Ludzie się schodzą, baba się śmieje, a mąż zagrożony utratą swojego skarbu już nie wie co z sobą zrobić.

Właśnie nadszedłem na tę scenę.

— Jaśnie panie! — zawoła przybiega jąc do mnie — weź mię w swoją opiekę, ja jestem sierota bez ojca i matki (miał lat sześćdziesiąt), któż się za mną bieda kiem ujmie, jeżeli nie jaśnie pan hrabia? I żal i śmiech brał patrząc na prze strach tego skąpca, gdy chodziło o utratę

swego kapitału; rad nie rad musiałem interwenjować w tej sprawie i wpłynąć na pogodzenie się małżonków. Trzeba było widzieć jak hamując wściekły gniew który nim miotał, człowiek ten z najwyśukańszą grzecznością sprowadził babę z wozu, poznosił rzeczy do stacji i za godził furmana.

Cały tydzień mieliśmy spokój we dworze; pani Andrzejowa miała rozum i nie oddała pieniędzy, a czuły mąż bojąc się aby nie uciekła, chodził przed nią na palcach, a potajemnie śledził i szukał, gdzie ona mogła schować ten worek. Nie mogąc nic wskórać po trzeźwemu, próbował ją upoić, licząc, że w tym stanie prędzej się wygada; lecz baba niby ujęta, wskazywała jakieś miejsce gdzie schowała srebrne ruble; Andrzej wśród nocy biegł tam, kopał, nurtował, ale pieniędzy nie było,

Nazajutrz powtarzała się ta sama scena i taki sam zawód. — otóż, potrze

ba było tylko takiego nieszczęścia jak moje, żeby wśród takiej indagacji przy kieliszku, przyszło Andrzejowej do głowy wskazać lodownię jako miejsce schowania pieniędzy. Od brzegu do brzegu wymacał całą strzechę lodownię, lecz zamiast worka z rublami znalazł moją Lepażówkę.

W tej chwili kiedy się to stało, przyjechał do mnie w odwiedziny sąsiad mój, niejaki Michał Otrebski, młody człowiek zarządzający gospodarstwem owdowiałej siostry, pani Aurelji.

— Jaśnie panie hrabio! — woła wpadając z ferworem ogrodnik — znalazła się zguba jaśnie pana! — i to mówiąc wymuje z pod surduta porzewiałe lufy strzelby...

— A niechże cię milion porwie! szepnąłem zgrzytając zębami..

— Co to za lufy? — zapyta sąsiad.

— To od Lepażówki jaśnie pana, którą wykradł ktoś z gorzelni — rzeczy i z promieniony szczęściem ogrodnik... e pieniądze przepadły, ale za to jest ja pana fuzja...

— Dobrze, dobrze, zostaw Andrzej — mówię, udając ile można obojętność — te lufy już na nic się nie zdały, trzeba połamać w kawałki... rdza zjadła kompletnie...

— Jak tam uważa jaśnie pan hrabia!... — dodaje wychodząc ogrodnik, wtedy gdy mnie o mało djabli nie brali ze złości...

Nie mogłem się powstrzymać, i po wyjściu Andrzeja wybuchnąłem przed sąsiadem całym potokiem żalu i narzekań

na tę nieszczęsną strzelbę. Opowiedziałem mu szczegółowo całą historję mej fuzji i szereg nieszczęść, jakie ona od

roku na mnie sprowadza.

— Dalibóg, już nie wiem co mam z nią robić, porąbię w kawałki i niech raz będzie koniec.

— Et, szkoda, zawsze to droga pa miątka i strzelba wyborna; wiesz pan co, ja ją zabiorę do Górek i dam Aurelji do schowania, kobiety mają spryt lepszy od uas... a sąsiad będziesz miał spokój...

— Do śmierci będę wdzięczny szanownej jego siostrze! — zawołam ściskając pana Otrembskiego — zdejmiecie mi wielki ciężar z serca...

— Drobnostka — rzecz — trzeba było dawniej już to zrobić.

— Przyznam się, nie przyszło mi na myśl... zresztą nie śmiałem kogobądź, a tembardziej pańską siostrę narażać na odpowiedzialność.

— Bagatela, sąsiedzie; u mojej siostry to cały arsenał różnych papierów jest złożony w depozycie; Moskale jakoś są względni na jej dom, jako wdowy po urzędniku.

Kiedy się ściemniło, wyszukałem kolbę w lodowni, odczyściłem co się dało i usłużny sąsiad zabrał do bryczki Lepa

żówkę. Gorzelanemu, który się już do wiedział o znalezieniu lufy i rano przy szedł ją obejrzeć, powiedziałem, że rdza na nic ją pożarła, że bez osady nie ma żadnej wartości, i że połamawszy ją w kawałki, wrzuciłem do wody.

— To Szczepanowi tylko może wiel możny pan podziękować.

— Wątpię, czy to on...

— Hm, hm, wielmożny panie, mnie oko nie myli, jeżeli potrzeba, przysięgnę.

— Stało się, fuzję djabli wzięli, a nie mając dowodu, nie mogę nikogo obwi niać...

Sąsiadka moja, pani Aurelja, która przyjęła odważnie do zachowania Lepa żówkę, była to młoda, jeszcze trzydziestu lat nie mająca wdówka, bezdietna i do syć majątna kobieta. — Nie ładna, ale też nie brzydka i pulchna brunetka, nu dziła mię swoim sentymentalizmem, a jeszcze bardziej zmuszaniem do jedzenia. Ile razy przyjechałem ztamtąd, chorowa łem na niestrawność i migrenę; — na stawiała zawsze tyle konfitur różnego ga tunku, jakieś pigwy, morele, gruszki o

smarzone w cukrze, a wszystkiego wy
padało choć po trochu skosztować. Przy

herbacie znowu twarde ciastka, paluszki,
obwarzanki — to wędliny, i znowu ko
lacja na trzy potrawy, i znowu orzechy
lub bakalje; słowem, jadłem i jadłem
bez końca. Mam bowiem tak nieszczę
śliwą naturę, że nie umie się wymówić;
w brzmieniu mojego „dziękuję”, przebija
się jakby nieszczerłość jaka, bo zdaje się
każdemu, że ja mam chęć, a tylko lubię
żeby mię proszono. Dlatego do Górek
przyjeżdżałem bardzo rzadko, chyba z
koniecznej potrzeby, lub na wielkie uro
czystości parę razy do roku. Najcięższą
była dla mnie wizyta w lecie; pani Au
relja wyprowadzała mnie zaraz do ogrodu
i pokazywała swoje kwiaty: było tam
tego tysiące, a wszystkie piękne, nawet
wiele rzadkości. Gospodyni unosiła się

nad każdym, pieściła, całowała, odkrywa
jąc szczególniejsze przymioty i wdzięki
w układzie listków, w zagięciu brzegów,
czystości kolorów. — Entuzjazm taki i
zamiłowanie wydało mi się udaniem. Pani
Aurelja szczebiotała nieustannie, a ja ki
wałem głową uśmiechnięty i powtarza
łem machinalnie: prawda, bardzo piękny,
wspaniały... przepyszny i t. p...
Nie posądzałem, aby pani Aurelja
chciała mi się podobać, bo doprawdy nie
jestem do zakochania. Człowiek, tyle

znękanym nieszczęściami familijnymi i klę
skami moralnymi, człowiek stetryczały i
zdziczały, jakim ja jestem, trudno
aby się jakiejś kobiecie mógł podo
muszę się jeszcze przyznać,
że również i pani Aurelja nie była w
moim guście; ja lubię wiotkie, swawolne
blondynki z niebieskimi jak turkusy o

czyrna, a ona mocno ściąda brunetka, pełnych kształtów w rodzaju hiszpańskich piękności.

Brat jej, młody Otrembski, mógł być bardzo dobrym chłopakiem, ale straszny samochwał i arrogant. Chwalił się wszędzie i ze wszystkiego; zdawało mu się, że na całym świecie nie ma lepszego gospodarza jak on, nie ma lepszej wsi jak Górki, lepszych inwentarzy, lepszego ogrodu, a wreszcie lepszej, piękniejszej i mądrzejszej kobiety jak jego siostra. Te jego pochwały dojadły mi do żywego, i po każdej wizycie czy u nich, czy u mnie, psuły mi humor na kilka dni.

Jednak teraz, gdy wyświadczył mi usługę zabierając fuzję do zachowania, wypadało pojechać do Górek i podziękować pani za taką grzeczność. Z dnia na dzień z włączyłem ten wyjazd, i dopiero coś w dwa tygodnie pokazałem się we dworku pani Aureiji.

Blisko rok nie widziałem mojej sąsiadki i dziwna rzecz, trafiłem tak nie szczęśliwie, że zastałem ją we łzach. Ziała na kanapce w bawialnym pokoju w d gaju zieloności i płakała, ale to płakała rzewnie.

— Daruj pan — rzecze podając mi rękę na powitanie — że przyjmuję go w tym stanie. Pan jesteś tak rzadkim i miłym dla was gościem, że nie miałam siły odmówić mu przyjęcia — wiem, że masz dobre serce i przebaczysz łzy moje... proszę, siadaj pan...

Nieśmiało, pozwoliłem sobie zapytać ją o przyczynę tego smutku...

— Wstydzę się wyznać prawdę — rzecze ocierając oczy że powodem tych łez jest nieszczęśliwe spotkanie, jakie miałam dwie godziny temu powracając z Warszawy. Wystaw pan sobie, między Mińskiem a Kałuszynem postępujący oddział wojska wstrzymuje nasze konie.

Dwóch kozaków nadbiega z krzykiem i zastępuje drogę nakazując stanąć. Stajemy więc, a tymczasem nadciąga masa piechoty: zabłoceni żołnierze postępują w szeregach, kozacy kręcą się po bokach drogi, dwie armaty idą dalej, a za nimi furmanka chłopska zaprzężona w dwa koniki. Spojrzałam na tę furę i wystaw

pan sobie, poznałam okutego w kajdany księdza Brzózkę, wikarjusza z Sokołowa...

I on zapewne mię poznał, bo skinął głową z gorzkim uśmiechem ku powozowi. Zrobiło mi się nie dobrze—tymczasem jak na złość zatrzymał się kondukt wtem miejscu, a biedny wynędzniały kapłan spoglądał na mnie swojemi niebieskimi oczyma tak żałośnie i z tak wymownem pożegnaniem, że doprawdy, do samej śmierci tego spojrzenia nie zapomnę.

Obok niego siedział jakiś również okuty młody chłopak, lat może dwudzie stu, brunet w mieszczańskiej kapocie, przed nimi i za nimi po dwóch żandarmów z gołemi pałaszami w jednej ręce, a rewolwerami w drugiej.. Księdza, Brzózkę znałam osobiście, wieś mojego ojca należała do parafji Sokołowskiej, on dawał mi kiedyś lekcje katechizmu,

bywał w naszym domu, a teraz zbiedzony do niepoznania, zawalany błotem, z długimi rozczochranymi włosami, jechał do tego samego Sokołowa, jak zbrodniarz i... nie chcę pomyśleć nawet po co? Od tej chwili nie mogę się uspokoić... coś tu w sercu rozpiera mi piersi... daj pan... nie mogę... muszę płakać...

Nie przeszkadzałem wybuchowi szła chetnej boleści i milczałem, wstrzymując się z jaką bądź perswazją, tembardziej, że pani Aurelja z tym płaczem, w czarnej zapiętej pod zygę sukni, wydała mi się zachwycającą kobietą. Dziwna rzecz, przez ten rok zeszczupiała do niepoznania owe pełne kształty kibici, dziś zeszły do zwykłych rozmiarów giętkiej i zgrabnej figurki, śniada cera twarzy nabrała matowego białego blasku, a czarne oczy, zalane łzami, błyszczały jak dwa czarne

promieniejące węgle.

Zwolna, jej nerwowe łkania ustały, zmieniliśmy przedmiot rozmowy, biedując wspólnie nad nieszczęściami i klęskami naszej ojczyzny... Przyszedł brat, również za smucony, podano herbatę. Wtedy dopiero przypomniałem sobie cel mej wizyty i dziękując za grzeczność i łaskę, uści snałem serdecznie rękę mojej sąsiadki.

— Gdybyś pan zadał sobie pracę po znać nas lepiej, — rzekła z niejakim wyrzutem — już dawno byłbyś się uwolnił od tych kłopotów, o jakich mi brat opowiadał. Proszę, pójdź pan — mówi biorąc mię pod rękę, pokażę mu gdzie jego Lepażówka zachowana.

To mówiąc, przez buduar przeprowadziła mię do sypialnego pokoju i od

suwając na bok jedne z listew odrzwi rzekła:

— Patrz pan, czy jej tu dobrze?

Rzeczywiście, odświeżona, błyszcząca strzelba stała sobie w framużce jakby u myślnie dla niej wyrobionej.

— Jak mogłam oczyścić sama ze rdzy i ziemi, brat mi dopomógł rozszrubować zamki wyczyścić lufy.

— Ach! pani jesteś zbyt dobrą — rękę całując ją w rękę — nie spodziewałem się żebyś prócz litości nad moją biedą, miała tyle jeszcze delikatności i poświęcenia.

— Panie Ignacy, ja umiem szanować wszelkie pamiątki, tak swoje jak i cudze. Znając historję tej strzelby, uważałam za obowiązek uszanować jej pamięć i ochronić od zniszczenia. Dajmy więc pokój podziękowaniom, to mnie żenuje tylko i zmniejsza moje zasługi. My kobiety lubimy zawsze być dobroczyńcami mężczyzn, proszę pana nie psuj mi tej iluzji...

Byłem oczarowany i rozrzewniony taką delikatnością i dobrocią serca pani Aurelji, a że przyjęcie było skromne, więc i zachęcanie do jedzenia wydało mi się tym razem tylko serdeczną uprzejmością ze strony gospodyni. Unikając wspomnienia o przyczynie płaczu pani

Aurelji, powoli gawędka nasza weszła na więcej swobodną i poufałą drogę. Ja z natury małomówny i dzikiego, że tak powiem, usposobienia, nieznacznie pozwoliłem sobie być więcej otwartym; gospodyni znowu umiała tak naturalnie kierować rozmową, słuchała z takim niekłamaniem współczuciem moich zwierzeń i moralnych utrapień, że cały wieczór zeszedł nam przyjemnie.

Późno już było w nocy gdym wstał aby pożegnać gościnną wdowę.

— Ależ ja nie pozwolę panu wyjechać o takiej porze; pokój dla pana przygotowany obok Michasia.

— Muszę jechać — tłumaczyłem się z niechęcią — koniom już dawno kazałem zajechać, mam pilne sprawy do załatwienia...

— Konie spoczywają w stajni, pański stangret śpi od dwóch godzin... proszę być grzecznym i posłusznym, panie Ignacy. Pan dawno już odwykłeś od uległości kobietom, a mnie się nie często zdarza sposobność rozkazywania. Jeżeli to za

praszenie moje nie podoba się panu, proszę, zrób na ten raz wyjątek i udaj, że słuchasz.... Pozwól niech i mnie się zdaje, że mam jakąś władzę.

Tak zapraszany, nie mogłem się wyrazić, a położywszy się w wygodnym łóżku, w duszy rad byłem, że się niepotrzebuję tłuc miłe drogi wśród ciemnej nocy po błotnistej drodze.

Długo nie mogłem zasnąć, rozmyślając nad przyjemnościami rodzinnego życia. Przykre myśli minionego szczęścia wtedy gdy otoczony opieką matki, a potem nieocenionej żony, nasuwały mi porównanie teraźniejszej na wsi wegetacji. Żadnej wygody, żadnej troski i porządku domowego, a pełno niefortunn i zmartwień. Od rana do nocy tylko się gniewaj, kłóć, irytuj ze służbą, a gdy przyjdzie chwila spoczynku, niema

do kogo słowa przemówić — książka i własne myśli tylko! Do diabła i najlepsza książka znudzi, a własne myśli najstraszniejszy wróg dla tego rodzaju zgryźliwego jak mój charakteru...

Myślisz, myślisz i jeszcze gorzej..

wszystko się rwie, za tobą pusto, przed tobą pusto i czczo, ludzie egoiści, kraj w nędzy i żałobie, sprawiedliwość zginęła i pan Bóg jakby o nas zapomniał. Nie raz przychodzi mi myśl plunąć na cały ten świat, i małą kulką zakończyć karierę doczesną. Rozsądek, religja, przywiązanie do tego głupiego życia i coś,

coś, niby jakaś nadzieja... Czego nadzieja ? jaką my możemy mieć nadzieję ? Et, dajmy temu wszystkiemu pokój.. najlepiej spać... Ba, żeby to można spać tak całe dni i tygodnie . . . choćby noc... Szczęśliwi, którzy spać mogą... ja i tego

nie potrafię: zatykam uszy, odpędzam przykre myśli, perswaduję sobie, pocieszam się, roję sztuczną, dziecinną nawet tkankę przyszłości, nic nie pomaga.

otóż tak było i podczas owej gościny w domu pani Aurelji — do piątej z rana nie zmrużyłem oka i już ruch zaczął się we dworze, już słyszałem szepczące rozkazy gospodyni przez ścianę, gdy skleiły mi się wreszcie powieki i usnąłem. Zda wało mi się, że spałem godzinę, tym czasem spojrzawszy na zegarek zobaczy łem, że jedenasta. Jezus Marja! wo łałam zrywając się na równe nogi, a pan Michał śmieje się ze mnie stojąc na progu pokoju.

— A co, udało się mojej siostrze o szukać kochanego pana, kazała zamknąć okienice i panu się zdawało, że to noc jeszcze... Jedyna kobieta, prawda? — jej figle mają w sobie coś delikatnego, że choćbyś się chciał gniewać, nie po trafisz.

Zatrzymano mnie na obiad; pani Au relja choć jeszcze z nabrzmiałymi od wczorajszego płaczu oczyma, cieszyła się widocznie z mojego zakłopotania, z jakim przeproszałem za naruszenie porządku domowego.

Gdy wróciłem do siebie, — już w drzwiach pokoju czekały mnie przykrości kawalerskiego gospodarstwa. Gromada parobków, zostających na dworskim stole, szła procesjonalnie na skargę, że mają złe jedzenie. Dwóch z nich niosło z niezmierną powagą ogromną miskę pełną barszczu, jeden trzymał na widelcu kawałek mięsa, a reszta z drewnianymi łyżkami towarzyszyła pochodowi.

— Niech wielmożny pan zobaczy — odezwał się przywódca, nazwiskiem Żołądek — jak nam ta gospodyni jeść daje, co to za barszcz?

— To krochmal — dodaje drugi — łyżka w nim stanie... — I na dowód wsadza blaszaną łyżkę w środek miski.

— A mięso to tak czuć, jak zdechlinę — niech wielmożny pan powącha — dowodzi trzeci, podstawiając mi pod nos widelec z mięsem.

— Psy tego jeść nie chcą... — z juncacką miną rzeknie młody pomocnik stangreta.

— Dlatego, wielmożny, panie dziękuje
my za służbę; uiech tam kto chce pra
cuje o takim wichcie.

Jak mogłem załagodziłem interpe
lantów, przyrzekając, że dopilnuję sam,
aby lepiej gotowano.

— Bo ta Kaśka, wielmożny panie —
mówi Żołądek — to tylko schlebia się
gospodyni, a nas jak psów traktuje —
gospodyni za nią, a to z przeproszeniem
flondra, co aż strach.

— Każę innej dziewczce gotować od ju
tra, a dajcie mi święty pokój.

Zwolna wyprowadzili się przecie z tą
miską, i wśród ogólnej uciechy, aby udo
wodnić słuszność swoich uzalań, poczę
stowali psy dworskie obiadem.

Jeszczem nie zdjął paltota, gdy dru
giemi drzwiami weszła z ogromną furją
Szadkowska: przekrecony czepek na gło

wie staruszki, dwa promienie siwych włosów spadające na oczy wskazywały, że jest na wszystko zdecydowaną.

— Proszę wielmożnego pana — rzecze składając mi pęk kluczy na stole — ja dłużej rządzić nie mogę; niech pan z łaski swojej każe, aby mi Szczepan dał jaką furmankę, jadę do córki.

— Moja Szadkowska, chybaś zwarjowała! — proszę, zabierz sobie klucze i

idź do swojej roboty. Czy ja ci co złego zrobiłem, czy nie rządzisz sama, jak chcesz?

— Do wielmożnego pana nie mam żadnej urazy, Bóg świadkiem duszy mojej, ale jeżeli pan ma słuchać parobków i Kaśka ma nie gotować, to ja służyć nie będę.

— A cóżem im miał powiedzieć?

— Trza było wziąć kija i dobrze wy

młócić tego Żołądka, prowodyra, i tego drugiego smarkacza.

— Ależ to nie wolno, i wiesz, że ja tego nie lubię...

— To też, że wielmożny pan zawsze tak delikatnie, a z temi rozbójnikami inaczej nie można.. A pan, zamiast ich zwymyślać, to jeszcze obiecał, że Kaśka nie będzie więcej gotować. Oni też tego chcą, żeby mie za nic nie mieli i przywodzili dziewczkom. Ja na to nigdy nie pozwolę, wolno panu wybierać, albo oni, albo ja ?

— Moja Szadkowska, głupie mi stawiasz warunki: i bez nich i bez ciebie obejść się nie mogę; trzeba, żebyście się pogodzili.

— To niech ich wielmożny pan godzi; ja od Kaśki nie odstąpię, albo niech oni postawią na swoim, albo ja postawię na

swojem. Dzięki Bogu, nie jestem łaknąca pańskiego chleba; pojedę do córki, i już...

Zirytowany do żywego tą sceną, zacząłem chodzić wokoło pokoju, rozmyślając, jakby tu wybrnąć z tych kłótni do mowych, które się parę razy w tygodniu powtarzały. Podczas tego kołowania dostrzegłem, że jeden z cybuchów z ogromnym bursztynem, jeszcze pamiątka po ojcu, stoi tak delikatnie oparty o fajczarnię, że najmniejszy ruch może go wywrócić. Podchodzę machinalnie, i biorę go w rękę, aby lepiej ustawić, a tu mój bursztyn rozpada się na dwoje. Widocznie ktoś go stłukł, zlepił śliną i ustawił umyślnie, abym zaczepiwszy, był przekonany, że go sam stłukłem.

— Wojciechu! — wołam pokazując mu szkodę — kto zbił ten bursztyn?

Wojciech zrobił wielkie oczy, wziął bursztyn do ręki, obejrzał pilnie oba kawałki, i rzekł nadzwyczaj zdziwiony:

— Nie wiem, proszę pana.

— Jako nie wiesz! krzyknę — a któż tu chodzi i sprząta w pokoju?

— Żebym się z tego miejsca nie ruszył, żeby się ziemia podemną rozstąpiła, żeby... i żeby i żeby... tyle mi wyrecy

tował zaklęć na duszę, na ciało, na zbawienie... że nie wie i nie wie...

Pasja mię porwała, złapałem go za kołnierz i wyrzuciłem za drzwi.

— Jak idzie robota? — pytam wchodzącego ekonoma.

— Dobrze, wielmożny panie — odpowiada kłaniając się i zdaje raport o ruchu gospodarstwa.

— No, przynajmniej u ciebie wszystko w porządku — mówię pocieszony.

— Staram się, wielmożny panie, niech waląc się... tylko ten Franek mały z cugowej stajni, to taka bestja rozpustna, że rady sobie z nim dać nie mogę.

— Cóż on takiego zrobił ?

— Posłałem go wczoraj na Krzymuskim do Węgrowa po mięso i coś mu zrobił w oko, że łzy mu lecą i lecą, oko spuchło...

Objaśnię nawiasem, że Krzymuskim nazywał się koń wierzchowy, kupiony kiedyś od drobnego szlachcica tego nazwiska.

— Pewnie mu wybił oko... każ go tu

przyprowadzić przed ganek!

Wyszedłem, przyjrzałem się oku, i ani wątpić, oko wybite kompletnie, już wypłynęło...

— Ależ ten koń nie ma już oka!

— Ja też tak myślałem sam, ale cze

swojem. Dzięki Bogu, nie jestem łaknąca pańskiego chleba; pojedę do córki, i już.,.

Zirytowany do żywego tą sceną, zacząłem chodzić wokoło pokoju, rozmyślając, jakby tu wybrnąć z tych kłótni do mowych, które się parę razy w tygodniu powtarzały. Podczas tego kołowania dostrzegłem, że jeden z cybuchów z ogromnym bursztynem, jeszcze pamiątka po ojcu, stoi tak delikatnie oparty o fajczarnię, że najmniejszy ruch może go wyrócić. Podchodzę machinalnie, i biorę go w rękę, aby lepiej ustawić, a tu mój

bursztyn rozpada się na dwoje. Wido
cznie ktoś go stłukł, zlepił śliną i usta
wił umyślnie, abym zaczepiwszy, był
przekonanym, że go sam stłukłem.

— Wojciechu! — wołam pokazując mu
szkodę — kto zbił ten bursztyn?

Wojciech zrobił wielkie oczy, wziął
bursztyn do ręki, obejrzał pilnie oba ka
wałki, i rzekł nadzwyczaj zdziwiony:

— Nie wiem, proszę pana.

— Jako nie wiesz! krzyknę— a któż
tu chodzi i sprząta w pokoju?

— Żebym się z tego miejsca nie ru
szył, żeby się ziemia podemną rozstała,
żeby... i żeby i żeby... tyle mi wyrecy

tował zaklęć na duszę, na ciało, na zba
wienie... ie nie wie i nie wie...

Pasja mię porwała, złapałem go za
kołnierz i wyrzuciłem za drzwi.

— Jak idzie robota? — pytam wcho

dzącego ekonoma.

— Dobrze, wielmożny panie — odpowiada kłaniając się i zdaje raport o ruchu gospodarstwa.

— No, przynajmniej u ciebie wszystko w porządku — mówię pocieszony.

— Staram się, wielmożny panie, niech waląc się... tylko ten Franek muły z cugowej stajni, to taka bestja rozpustna, że rady sobie z nim dać nie mogę

— Cóż on takiego zrobił?

— Posłałem go wczoraj na Krzymuskim do Węgrowa po mięso coś mu zrobił w oko, że łzy mu lecą i lecą, oko spuchło...

Objaśnię nawiasem, że Krzymuskim nazywał się koń wierzchowy, kupiony kiedyś od drobnego szlachcica tego nazwiska.

— Pewnie mu wybił oko... każ go tu przyprowadzić przed ganek!

Wyszedłem, przyjrzałem się oku, i ani wątpić, oko wybite kompletnie, już wypłynęło...

— Ależ ten koń nie ma już oka!

— Ja też tak myślałem sam. ale cze

kałem jak spuchlizna zejdzie... Widać tak jest, skoro wielmożny pan powiada.

— I cóż ty na to?

— A cóż, powiedziałem urwisowi, że zapłaci, bo spodziewać się, że mu wielmożny pan nie daruje i wytrąci z pensji.

— Koń kosztuje ośmdziesiąt rubli, a jemu do nowku należy się sześć; z czegoż mu potrącać?

— Hm, hm — bąknął Szczepan — to niech go wielmożny pan pośle do kancelarii gminnej, i niech go porządnie obiją. Czy ja sobie mogę dać radę teraz, kiedy im wolność dali. — Tknać nie można... posłuchu żadnego., wielmożny panie, urwana głowy z temi ludźmi...

otóż w tym rodzaju przyjemności go spodarskie powtarzały się, jak mówiłem, parę razy na tydzień. Nie to, to co inne go, a zawsze jakaś niespodzianka. Nie ma rady, trzeba siedzieć w domu i nie ruszać się ani na krok.

Utwierdzony w tem przekonaniu, za jałem się gorliwie dozorem gospodarstwa i zapomniałem o sąsiadach. Po upływie trzech tygodni odwiedził mnie pan Michał, robiąc grzeczne wymówki, że zapomniałem

o Górkach, a siostra tak mile wspomina ostatnią bytność pańską u nas. Czyba się sąsiad obraziłeś na nią za owe okienice?

Wy tłumaczyłem mu jak mogłem, że niepodobna mi opuszczać domu; śmiał się, słuchając opowiadań o moich kłopotach i widocznie brał to wszystko za pretekst ograniczenia naszych stosunków do prostej ceremonialnej grzeczności. Przed wami łaskawi czytelnicy przyznam się otwarcie, że podejrzania jego miały rację, rzeczywiście nie chciałem z panią Aurelją zawiązywać bliższych stosunków; zdawało mi się, że te zapraszania gorące i ta niezwykła uprzejmość miały już teraz osobliwszą intencję dotyczącą pewnych rachunków na moją osobę. Nieraz, po śmierci żony przychodziła mi myśl powtórnego ożenienia, lecz do tego trzeba aby poruszyło się żywiej

moje serce na widok przyszłej towarzy-
szki. Kochając raz, pamiętałem te wszy-
stkie symptomata rodzącej się miłości,
ten niepokój duszy, te pragnienia wyma-
rzone, nieokreślone, wśród których jak w
wieńcu kwiatów wysuwało się naprzód to
migotliwe a wymowne spojrzenie kobiety
którem się zdradza sympatja. Wobec
pani Aurelji niczego podobnego nie do-
świadczałem; może i były tam pewne
dane oznaki życzliwości, ale te nie odbi-
jały się w mej duszy.

Znowu upłynęło dwa tygodnie, a ja
nie mogłem się zebrać z wizytą do Gó-
rek, i byłbym jeszcze dłużej namyślał
się jechać czy nie jechać, gdyby nie
przyniesiona przez gorzelnianego no-
winka.

— Wie wielmożny pan — rzekł wpa-
dając raniutko do mego pokoju — że

dziś w nocy tutejszy kapitan z kome-
dantem żandarmów jeździli na rewizję
do Górek. — Nie mogłem się dowiedzieć
od podoficera co tam znaleźli, lecz z mi-
ny widziałem, że coś zaszło niedobrego.
Wspominał o broni. . tak niby...

Zadygotało mi serce na tę wiado-
mość; a nuż, pomyślałem, znaleźli moją
Lepażówkę i biedna kobieta narażona zo-
stała na jakie niebezpieczeństwo... Zer-
wałem się tedy niespokojny i zmartwiony
do żywego, kazałem zaprzędz do bryczki
i jadę do kwatery kapitana. — Spi —
zapewnia żona — dopiero co wrócił z
podróży.

— I nie wie pani gdzie byli ?

— Na prawdę nie wiem — odpowiada
uśmiechając się złośliwie — przyjechał
wieczorem naczelnik żandarmerji z po-
wiatu i pojechali gdzieś w nocy, a mnie
nie przyszło na myśl pytać się gdzie.

— Teraz spią obadwaj i jakoś nie wy pada ich budzić.

Nie nalegałem dalej, ale prosto ka załem jechać do Górek. Droga była okropna, ja się niecierpliwiłem, stangret smagał konie raz po raz, a mimo to ledwie w półtorej godziny stanąłem przed gankiem.

— Spodziewałam się pana — rzeczce blada lecz uśmiechająca się życzliwie pa ni Aurelja, podając mi rękę — dla uas byś pan nie przyjechał, nie mamy szczę ścia do pana, przyznaj się, ale gdy cho dzi o Lepażówkę, wiedziałam, że pospie szysz.

— Przebaczy mi pani — mówie tro chę urażony taką wymówką — pozornie jestem winien — ale źle pani trzymasz o swoich przyjaciółach.

— Których wiadomość o rewizji zniewala dopiero dowiedzieć się, Gzy ci przyjaciele żyją i czy nie są gdzie w drodze do Krasnojarska ? — Jednak bądź pan spo kojny, żyjemy jak pan widzisz cało i zdrowo, żyjemy i jesteśmy wraz z uko chaną Lepażówka...

Czułem swoją winę, a pani Aurelja umiała to uczucie wyczytać na mojej twarzy, bo odezwała się wesoło: pańska strzelba ma szczęście, że się do niej tak

ludzie przywiązują, i jeżeli pójdzie tak dalej, będziesz pan miał we mnie nie bezpieczną rywalkę. Michaś opowie panu na jaki odważyłam się czyn heroiczny aby ją ocalić — dodała rumieniając się trochę.

— Bardzo wątpię — odrzekłem — czy można się przywiązać do rzeczy, które nam tyle przykrości i kłopotów sprawiają. Co do mnie...

— A co do mnie — przerywa z wdziękiem gospodyni — jestem kobietą, a my kobiety właśnie tem większą przywiązujemy cenę do rzeczy i osób, które możemy utracić, choć one nam kłopoty i boleść sprawiają. Jest to kontrast, anomalia, ale tak jest rzeczywiście.

— Ja właśnie miałem prosić panią o zwrot tej nieszczęśliwej dubeltówki ; postanowiłem ostatecznie potłuc ją w kawałki, aby raz na zawsze skończyć te swoje i cudze utrapienia.

— A ja na to nie pozwolę — odrzekła z pewnym przyciskiem — i fuzji nie oddam. Proszę pana, nie kłopotcz się nią więcej, ja biorę ją na swoją odpowiedzialność. Prawda, że mi pan nie odmówisz takiego prezentu, który przeznaczony na zniszczenie? Co, wahasz się pan jeszcze ?

— Nie, tylko obawiam się, że panią znów narazi...

— Nio będę miała żadnej a żadnej do pana pretensji, ani najmniejszego żalu... Co, zgoda, podaj mi pan rękę, Le pażówka moja ?

— Niech pani służy — odrzekłem ścisnąwszy jej delikatną rączkę...

Nadszedł pan Michał w żartobliwym jak zwykle usposobieniu i zaczęło się o powiadanie szczegółów nocnej rewizji. Pani Aurelja wyszła z pokoju pod pozostawienie

rem przygotowań do obiadu, a pan Michał dopieroż się unosić nad jej przytomnością.

— Powiadam panu, to nieoceniona kobieta : gdy przed gankiem zrobił się hałas i brzęk pałaszy, gdy usłyszała rozmawiających w saloniku po moskiewsku, domyśliła się że to będzie rewizja. O pałasy jej nie chodziło, bo ich nie ma w mieszkaniu, ale zlekła się o Lepażówkę. Zdawało jej się, że pod futryną drzwi nie jest bezpieczną: zrywa się, wyjmuje ją ztamtąd, i chowa między siennik a materace w łóżko swoje, i kładzie się udając, że spi w najlepsze. — Bestja żandarm najprzód chce iść do jej pokoju; ja proszę że siostra spi, że pójdę ją obudzić żeby wstała.

— Niet, moj pan — rzecze biorąc za klamkę — my ludzie dobrze wospitany,

my me popatrzym na kobietę leżącą w łóżku, wy jej powiecie niech sobie za kryje głowę, — tylko posmotrim rzeczy. Kapitan już postawił sołata przy drzwiach od jadalnego pokoju, i weszliś my do sypialni. Aurelja udała że się bu dzi i zaczyna się lękać — uspokoilem ją jak mogłem...

— Jak to można wchodzić tak do ko biety wśród nocy ! ?

— Nie bezpokojteś dama — rzecz z elegancją kapitan możecie oddychać, wam niczego nie zrobimy złego.

Kazali sobie dać klucze, przetrzęśli wszystko co tylko było w pokoju, przej rzeli listy, papierki, suknie, pukali w ściany, pukali w podłogę, szukali w piecu, ale do łóżka się nie zbliżali...

— Izwinite pani — jeto po służbie rzekł kapitan wychodząc z pokoju. Po tem trzęśli cały dom do samego rana, szukali w gumnach, stodołach, po stajniach, w ogrodzie — ale dzięki Bogu nic nie znaleźli...

Całe to opowiadanie, szczególnie re wizji w sypialnym pokoju, doprowadzało mię do pasji, — pana Michała, widzia łem cieszyła ta moja irytacja, a na

urywane moje słowa i nazwy nadawane rewizorom po służbie, uśmiechał się tylko powtarzając... A. co? moja siostrunia ma głowę, co? — szukaj drugiej takiej, co ?

Brzydką jest ta zarozumiałość mężczyzn o wyższości swej własnej osoby. Mimo widocznie bezinteresownej życzliwości i dobroci tych ludzi, nie mogłem pozbyć się myśli, że to wszystko komedia ukartowana na to, abym się żenił z panią Aurelją. Oni mają wtem jakiś interes — powtarzałem sobie wracając do domu — ale ja się nie dam. Kobiety potrafią tak zręcznie usidlić tego na kogo zagięły parol, taką otoczyć go naturalną życzliwością, słodyczą, dobrocią, że w końcu biedak uwierzy i zrobi głupstwo...

Srożyłem się jak mogłem, a jednak ten naiwnozdziwiony wzrok czarnych oczu pani Aurelji, zaczynał mi się coraz częściej przypominać. Rzeczywiście, ta kobieta miała szczególniejsze spojrzenie: mówi spokojnie z wdziękiem, uśmiecha

się — wszystko to nic nadzwyczajnego:
naraż, w pewnych chwilach, otwiera tak
dziwnie te wielkie oczy niby przestra-
szone, że blask tego spojrzenia jakby go
rącem jakim oblewał mie całego, a wy

raz ich pozostawał utkwiony w pamięci,
Ignacy — mówił w takich chwilach przy
pomnieniu ten drugi ja niepodejrzliwy —
przyłóż no rękę do serca, ty tam coś
czujesz?... Fałsz — odpowiadał mu zło-
śliwy Ignacy — serce spokojne jak u
dziecka. Mój kochany, czego się wypie-
rasz? — prześladował pierwszy, kobieta
przyjemna, wykształcona, delikatna, z naj-
lepszym sercem. Bo chciałyby pójść za
mąż i złapać sąsiada, więc się maskuje...
— Przyznaj żeś uparty zarozumialec,
co ona miałyby za cel łapać cię w swoje
sidła: kobieta młoda, zamożna, a ty co?
Safandula, ztetryczały wdowiec, zaszar

gany w interesach...

— Ba, żeby to ta jej sympatja była szczerą ?

— Dlaczegożby miała być inną?

— Dlaczego? — dlatego, że kobiety wszystkie są próżne, i lubią żeby się w nich kochano. Ulegniesz ich słodkim spojrzeniom, wynurzysz się ze swemi a fektami, a one parskną ci śmiechem i masz za swoje...

— To zdarza się u młodych zepsutych pańienek, ale kobieta rozsądna...

— Daj pokój i nie namawiaj, ja wiem dobrze co robię i na dudka nie dam się wystrychnąć.

W ten sposób uparty Ignacy zwy-
ciężał zawsze we mnie romantycznego
Ignacego, a mimo to jeździłem częściej do
Górek i wróciwszy ztamtąd znajdowałem
mój dom, moje gospodarstwo i moje o

toczenie daleko wstrętniejszem i opuszczone niż dawniej. Dlaczego, u pana Boga, nie mogę mieć takiego ładu i takiego porządku u siebie, jak w Górkach? Dlaczego u mnie tak pasto i chłodno, a tam wre życie i grzeje ciepło domowe?... No, czyż mężczyzna nie potrafi rządzić się z taką umiejętnością jak kobieta? Wlokły się te rozmyślenia i gniewy na samego siebie przez parę miesięcy, a ja nie mogłem się na nic zdecydować. Tymczasem powstanie w zupełności zgniecione zostało, powszechna apatia, jak po każdej u nas katastrofie, zajęła miejsce poprzedniej nadziei; byliśmy ogłuszeni, jak człowiek, którego ktoś pałką uderzy, i który nie jest w stanie oprzytomnieć. Uwłaszczenie chłopów, reformy, paszporty, komisje włościańskie, gminy nowe, były to powtarzające się uderzenia pałką, które nie pozwoliły żadnemu z nas poczuć właściwego gruntu pod nogami. Zakres mojego opowiadania nie pozwala rozwodzić się uad temi zdarzeniami, potrzeba zakończyć historję mojej Lepaźów

ki. Koniec ten jest bliższym, niż się zdaje, a motorem przyśpieszającym to rozwiązanie, było dozwole nie obywatelom starania się o bilety na posiadanie broni. Znowu byłem jednym z pierwszych, którzy się o to dopominali, i którym takowe udzielono. Dotąd nie pomyślałem o Lepaźówce, ale zobaczywszy w rękach czerwony bilet, przypomniałem sobie, że darowałem pani Aurelji moją dubeltówkę. Jaki darowałem? Czyż ja mogłem darować taką rzecz dla mnie drogą i pamiątkową? — A jednak darowałem. Okoliczność ta nadzwyczaj przykre sprawiła mi wrażenie... i nie mogłem się pogodzić z myślą, że Lepaźówka nie moja.

Trzeba nieszczęścia, że i pan Michał dostał taki sam bilet, i że przyjechawszy zafrasowany do Górek, zobaczyłem moją wyświeżoną, odpolitowaną, na nowej zielonej taśmie, zawieszoną publicznie Lepaźówkę. Powiadam wam czytelnicy, formalnie straciłam głowę.

— Panie Ignacy — pyta Michał — słyszałem, dostałeś bilet.

— Dostałem — odpowiadam machinalnie.

— A fuzję masz? Powiem ci, będąc u Bekiera w Warszawie widziałem prze pyszne odtylcowe dubeltówki.

— Ja nie cierpię tej nowomodnej broni...

— Są i perkusyjne Lebedego, Morti mera, lufy prawdziwe francuskie Ja kóba..

Weszła na to pani Aurelja, młodsza, piękniejsza i weselsza niż zwykle...

— Widziałeś pan Lepażówkę? Jaka ja szczęśliwa jestem, że biedaczka zoba czyła światło dzienne; spodziewam się, że pan nie żałujesz swojej wspaniało myślności. Patrz, jak wygląda? Micha siu, bądź łaskaw, zdejm ją ze ściany. Wzięła w rękę strzelbę i podała mi do obejrzenia.

— Ot, widzisz pan, zostały jej szramy z tej niewoli — tu, tu.., na lufie, tu na

zamku...

Ręce mi zadygotały widocznie, serce biło jak młotem, a dotknięcie włosów pani Aurelji o moje czoło, gdy się na chyliła, pokazując rany Lepażówki, do reszty odebrały przytomność.

— Pani! — rzekłem, spoglądając jej błagalnie w oczy — daruj mojej śmiałości...

— Co panu jest? — spytała nagle, oblewając mię tem przestraszonozadziwionem spojrzeniem. — Pan drżysz, pan zbladłeś? Na miłość boską! pan jesteś chory ?

— Tak pani — jestem chory, czuję tu coś niezwykłego w sercu, zamęt w głowie...

Przelekniona kobieta przyłożyła mi rękę do czoła.

— Czoło zimne... — szepce z niepo

kojem.

— Nie odejmuj pani tej ręki — mówię, przyciskając do ust drugą jej rękę, pozwól — błagam, niech odtąd ta szlachetna dłoń twoja koi na zawsze umysł szaleńca, który cię kocha całym sercem.

— Panie Ignacy — rzecze zalekniona, wysuwając swą rękę z moich uścisków ależ to formalne oświadczenia?

— O przyjęcie których zebrze twój najwierniejszy przyjaciel i sługa.

Patrzyłem w jej oczy, jak w tęczę, oczekując wyroku, a po tej twarzy chwilowo bladej jak marmur, mignęła błyskawica ironji.

— Panie Ignacy — rzecze łagodnie, gdy oko zachodziło mgłą łzawą — robisz za wielką ofiarę ze swego życia dla miłości tej strzelby... Znam twoje ser

ce... i twoje do niej przywiązanie, ale tej

szlachetnej ofiary przyjąć nie mogę, nie żądam tego, nie... proszę... weź swoją Łepażówkę i zostańmy przyjaciółmi — do końca, podając mi dubeltówkę.

Odrąciłem broń tak mocno, że upadła z hukiem na dywan.

— Jeżeli pani obojętną jest moja miłość i osoba — zawołam rozpaczliwie...

— Nie, panie Ignacy — przerywa za wszelką łagodnie Aurelja — pan dobrze wiesz, że go wysoko szanuję...

— To mało pani, to mało, za moje uczucie najszczytniejszej miłości, za moje serce za moje...

— No, to masz, masz tę rękę... szaleńcze jakiś — rzekła podając mi obie rączki.

— Niech będą twoje, bo wiem, że lepsze go nie znajdę na świecie opiekuna.

Gdy minęła pierwsza chwila uniesień moich, i gdy płonąca od wzruszenia kobieta potrafiła uwolnić się z moich uścisków, podniosła z dywanu Lepażówkę i całując ją z uczuciem, pogroziła mi palcem :

— Proszę mi nie rozbijać mojej kochanki — jesteś niewdzięcznik, ja ją prze proszę za ciebie i rozkazuję, abyś ją kochał, bardzo kochał... ale zawsze mniej trochę od twojej Aurelji.

Oto macie łaskawe czytelniczki koniec historii mojej dubeltówki. Przeczytałem ją głośno drogiej Aurelji przed kilku dniami, i zrobiła uwagę, że jest za długą i zanadto prawdziwą. Widocznie, nie podobala jej się ta okoliczność, że napisałem wyżej, jakoby z początku znajomości naszej nie czuł odrazu gwałtownej sympatii do mojej przyszłej małżonki... Cóż robić, kiedy tak było!

— A widzi ojczulko — zrobił mi wy mówkę ośmioletni nasz Kazio, słuchający z zajęciem tego czytania — jak to ojciec nie pozwala mi zbliżyć się do fuzji, a sam to przez okno wynosił ją z gabinetu, co?

— I za to też oberwał porządną reprimendę od swego ojca, — czy i ty takbyś chciał?

— Hm, hm — mruknął chłopak i umilkł, z czego wniosłem, że nie byłby od tego, i z tej przyczyny wychodząc ze swego gabinetu, chowam fuzję do szafy i na klucz zamykam.

KONIEC.

